WEGA

nieregularnik nr 8/2018

BIULETYN WIELKIEJ ENCYKLOPEDII GÓR I ALPINIZMU

OD REDAKCJI

W tym numerze przypominamy polskie sukcesy alpinistyczno-eksploracyjne w Andach, osiągnięte w 1937 roku przez uczestników drugiej polskiej wyprawy andyjskiej; Stanisław Pisarek przekazał nam trochę informacji o swoich wyprawach na Nevado Ojos del Salado, które zorganizował dla jej uczczenia w ramach projektu powtarzania przedwojennych wyjazdów Polaków. Udostępnił także zdjęcia. Dalej piszemy o *direttissimie* północnej ściany Eigeru, poprowadzonej w 1966 roku, a przy tej okazji w dziale kulturalnym z artykułu Piotra Paćkowskiego dowiemy się, jak Clint Eastwood realizował film sensacyjny *Eiger Sanction*. Marek Maluda opowiada o polskich książkach alpinistycznych wydanych w językach obcych; Jan Kiełkowski przypomina pierwsze przejście *Wielkiego Zacięcia* i zamieszcza kilka osobistych wspomnień z prowadzenia tej wielkiej tatrzańskiej drogi. W suplemencie Wegi przedstawiamy, jak zwykle, nowych Wegantów, a na koniec, w dziale kolekcjonerskim, prezentujemy zbiór etykietek z motywami górskimi na butelkach z winem.

Biuletyn jest publikacją niekomercyjną, związaną z *Wielką Encyklopedią Gór i Alpinizmu*. Staramy się docierać do twórców ilustracji czy fotografii, prezentowanych na jego łamach, zawsze podajemy nazwiska autorów, jeśli tylko je znamy. Zamieszczamy także ilustracje, których autorów nie znamy; w takich przypadkach staramy się, oczywiście, ustalić ich nazwiska, choć nie zawsze się to udaje. Prosimy o pomoc w tych sprawach.

Zapraszamy do podzielenia się na stronach biuletynu swoimi wspomnieniami. Chętnie zamieszczamy też uzupełnienia publikowanych materiałów. Warto byłoby opracować bibliotekę linków kierujących do stron o podobnym profilu, zaczynając może od najbliższej sercu tematyki tatrzanskiej
Wszystkie numery biuletynu WEGA zawsze można „ściągnąć” ze strony www.stapis.com.pl

Małgorzata i Jan Kiełkowscy
mjkmountains@aol.com
mjkmountains@googlemail.com

RZECZY WIELKIE I MAŁE W ALPINIZMIE

Pierwsze wejście na Ojos del Salado w Andach Atakamy

Niemal niezauważalnie minęła piękna osiemdziesiąta rocznica wielkich polskich sukcesów alpinistyczno--eksploracyjnych w Andach. W 1937 roku uczestnicy drugiej polskiej wyprawy andyjskiej zdobyli drugi, trzeci i siódmy z najwyższych szczytów obu Ameryk (sam najwyższy i czwarty pod względem wysokości Polacy zaliczyli już w 1934) oraz weszli na cztery inne dziewicze sześciotysięczniki. Dokonania te są imponujące, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że wyprawa działała w zupełnie bezludnych, pustynnych rejonach Andów Atakamy, a cała liczyła tylko czterech uczestników: Stefan Osiecki, Witold Henryk Paryski, Jan Alfred Szczepański, Justyn Wojsznis - wszyscy mają biogramy w t. VI WEGA odpowiednio na str. 567, 578, 751, 821.

Oto dokonania tej wyprawy:

Nevado Ojos del Salado, 1. wejście: 26.02.1937 Jan A. Szczepański i Justyn Wojsznis.

Nevado Pissis, 1. wejście: 7.02.1937: Stefan Osiecki, Jan A. Szczepański.

Nevado Tres Cruces, 1. wejście: 26.02.1937 Witold H. Paryski (24.02.1937 i Stefan Osiecki dokonali 1. wejścia na środkowy wierzchołek masywu).

Cerro de Nacimiento, 1. wejście (na wierzchołki pn.-zachodni i pn.-wschodni): 4.02.1937 Justyn Wojsznis (4.02.1937 Witold H. Paryski dokonał 1.wejścia na wierzchołek pd.-zachodni).

Cerro de los Patos, 1. wejście: 18.01.1937 Stefan Osiecki, Witold H. Paryski, Jan A. Szczepański, Justyn Wojsznis.

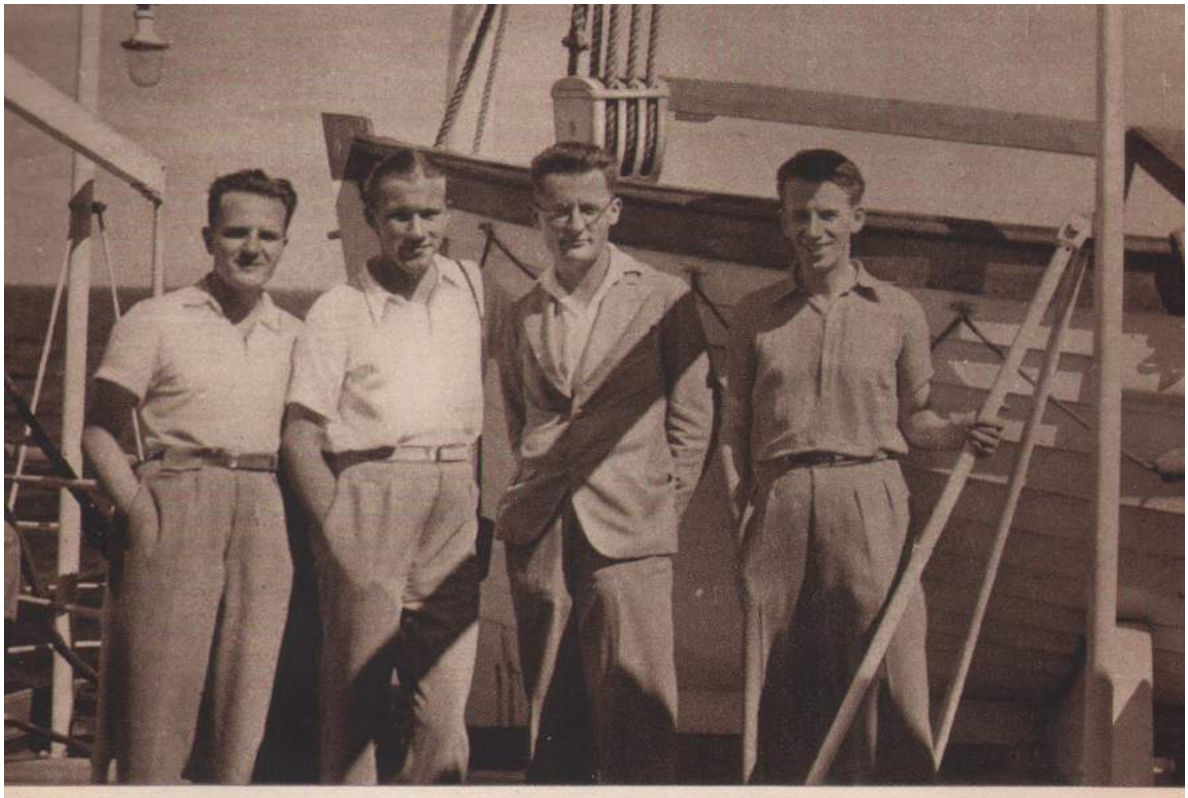

NARESZCIE W DRODZE NA DRUGĄ PÓŁKULĘ! Uczestnicy wyprawy na pokładzie polskiego statku „Kościuszko"; od lewej: Jan Alfred Szczepański, Justyn Wojsznis, Witold H. Paryski i Stefan Osiecki.

Volcán de Copiapo, 1. wejście alpinistyczne: 11.03.1937 Witold H. Paryski, Jan A. Szczepański.

Volcán Viento, 1.wejście: 8.02.1937 Justyn Wojsznis.

Wszystkie wymienione szczyty są opisane w t. IV WEGA odpowiednio na stronach: 535, 602, 738, 515, 587 276, 761

W Tres Quebradas. Uczestnicy wyprawy. Od lewej: Justyn Wojsznis, Stefan Osiecki, Witold Paryski, J. A. Szczepański.

Kompleksowe omówienie wyprawy zajęło cały (159 stron + załączona mapa) numer 3-4 „Taternika" z 1956 roku. Ale już w 1954 roku opublikowana została, poświęcona w całości tej wyprawie, książka Jana Alfreda Szczepańskiego *Wyprawa do księżycowej ziemi*, a w 1957 podobna książka Witolda H. Paryskiego *W górach Atakamy*. Wyprawę opisuje też Justyn Wojsznis w wydanej w 1966 roku książce *Polacy na szczytach świata*. Wybrane strony z tych publikacji załączamy dalej.

Jan Kiełkowski

TATERNIK

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO

ROCZNIK 32 WARSZAWA 1956 NR 3–4 (153–154)

lań. Było pogodnie, ale silny wiatr, drąc papier na strzępy, nie pozwalał pracować na bulastej grani i utrudniał wykonanie szkiców i zdjęć.

Nocą temperatura spadła do —6° C. Nazajutrz czekał nas długi marsz do miejsca, gdzie przewidywaliśmy założenie stałej bazy. Ranek był pogodny. Gdy mulnicy kończyli ładowanie zwierząt, my, penetrując pod kamieniami, wyławialiśmy jaszczurki, skorpiony i drobniejsze żyjątka. Paryski strzepywał trawę na czarną ceratkę i zbierał do próbówek pędzelkiem ledwie widoczną drobnicę. O godz. 8.30 nastąpił wymarsz.

Powtarzając wczorajszą drogę wydostaliśmy się na Campo Negro, przecinając potem w monotonnej jeździe jego minimalnie nachyloną płaszczyznę, pokrytą wypolerowanym żwirem i do gładkości wyświeconymi kamieniami. Z Portillo (5054 m) ujrzeliśmy po raz pierwszy dno doliny. Wrażenie było bardzo silne. Ogrom widzianych form i rozmach ukształtowania krajobrazu podkreślała nasza *tropa:* kilkanaście znikomych punkcików nisko, pod naszymi stopami.

Portillo nie jest przełęczą. Jest to po prostu nazwa miejsca gdzie szlak, opuszczając wysoki brzeg *campa* zapada się w dół, by stromszym zboczem zejść na niżej położone piętra. Stamtąd drugim schodem obniżyliśmy się nad brzeg Laguna de Tres Quebradas i objeżdżając jezioro od północy przecięliśmy deltę Rio Salado. Gdyśmy patrzyli przed tym z góry, wydawało się, że z tego miejsca będzie już do projektowanego obozu niedaleko. Długo jednak trzeba było jeszcze jechać w górę doliny, zanim przybyliśmy na miejsce, gdzie tworzą ją trzy zbiegające się, kręte wąwozy.

5 stycznia, w 9 dni po wyruszeniu z El Puesto, stanęliśmy wreszcie w Tres Quebradas. Nocą czekał nas mróz, ale zmęczeni 12-godzinną niemal jazdą spaliśmy dobrze — jak zawsze dotąd, bez namiotu.

5. ZAŁOŻENIE BAZY I PIERWSZE WYWIADY.

Rankiem oglądałem okolicę z wielkim zaciekawieniem. Miejsce nadawało się świetnie na obóz. Od północy zamykał widok pogmatwany natłok grzbietów ciągnących się aż po jezioro. Wszystko to tworzyło rozlazłe zbocza, jakimi do szerokiej doliny schodzi Cerro de los Patos. Wąski wąwóz, prowadzący do Portezuelo de Tres Quebradas, oddzielał je od broniącego nas przed zachodnim wiatrem grzbietu, który nieopodal obozu kończył się trapezowatą, piarżystą ścianą. Owijała ją rzeczułka wypływająca ze środkowego wąwozu. Za nim znów wysokie ściany piargów i trzeci wąwóz, ginący za bliskim zakrętem, zamkniętym jeszcze jedną piarżystą zaporą. Boczna jej grań wysuniętą ostrogą odgradzała nas od wschodu, wcinając się w początek szerokiej doliny. Tuż pod nią, opodal strumyka wypływającego z zabarykadowanego wąwozu, postanowiliśmy rozbić namioty — otoczeni niemal ze wszystkich stron wymuskanymi zwałami piargu. W tej zacisznej kotlince mieliśmy dobrą słodką wodę, nad jej brzegami wystarczającą ilość paszy dla mułów i wreszcie dość dużo nikłych suchorostów, by w chłodne wieczory podsycać nimi ogień w obozie.

Rozbiliśmy tu więc nasz domkowy namiot i urządzili go dzieląc na dwa przedziały: dwie trzecie zajmowała sypialnia, resztę dwa stoliki z paczek i przedpokój. Wykorzystanie miejsca było lepszę niż w kajutach okrętowych. Dwa małe namioty z płachti „PW" miały służyć mulnikom. Skład żywności okryła olbrzymia płachta, poprzyciskana, jak i brzegi namiotów, kamieniami. Na końcu ostrogi stanęła nad obozem zbita z deseczek klatka meteorologiczna. Kolista *pirka* z palącym się na środku ogniskiem pełniła rolę kuchni i miejsca towarzyskich

zebrań. Tu koncentrowało się życie po zachodzie słońca, w nagłym chłodzie, który wszystko wtedy przenikał. Całe dwa dni zajęło nam urządzenie obozu, lecz dobrze wywiązaliśmy się z tego zadania. Gdy dzisiaj myślę o Tres Quebradas — myślę o „domie", w którym mi było dobrze.

Po zainstalowaniu się na miejscu, dni nie stały się pustsze. Wypełnione po brzegi pracą, upływały szybko. Rano budził nas delikatnym dotknięciem ręki Paryski, wpatrzony w stoper, badając nasz puls. Szedł potem do klatki meteorologicznej, wracał i zapijał się Ovomaltiną. Do Szczepańskiego należała kronika, korespondencja i obsługa prasy. Osiecki i ja spędzaliśmy długie godziny nad mapami, nad rozbitym na początku wyprawy naszym „najlepszym" aneroidem, pokrywaliśmy azymutami liczne arkusze kalki. Paryski porządkował rosnące wciąż zbiory. Przy obiedzie i kolacji „spotykaliśmy" się wszyscy; najczęściej omawiało się wtedy plany i ustalało porządek następnego dnia. Wieczorem trzeba było zakończyć spowiedź robioną Paryskiemu po każdym jedzeniu: kto, co i ile zjadł. Przy świetle świec kończyliśmy nasze codzienne prace, porządkowaliśmy zapiski. Czasem jeszcze Osiecki, pełen poświęcenia, władowywał się do śpiwora głową naprzód, wraz z blaszanym pudłem pełniącym rolę ciemni i wywoływał klisze, robił odbitki. Paryski, torturujący nas i siebie, m. in. staniem na jednej nodze z zamkniętymi oczami, składał mi raport o przebiegu aklimatyzacji. Oswajaliśmy się z wysokością. No i robiliśmy wywiady.

9 stycznia Osiecki, Szczepański i ja wyszliśmy na zbocza Cerro de los Patos, zakładając tam bazę topograficzną. Paryski zwiedził grzbiet między południowym a środkowym wąwozem (ok. 4900 m).

11 stycznia Osiecki i Paryski wyruszyli na mułach do jeziora, zdejmując po drodze azymuty i robiąc zdjęcia fotograficzne. Następnie weszli na wzniesienie noszące w naszej podręcznej nomenklaturze nazwę Kopy nad Jeziorem czyli Cerro de la Laguna (ok. 4500 m). W drodze powrotnej, nad małym jeziorkiem urządzili polowanie na dwie *tuny*. Przekonawszy się jednak, że posiadana przez nas amunicja do rewolwerów nadaje się wyłącznie do robienia huku, upolowali oba ptaki kamieniami. Ugotowaliśmy sobie na nich zupę. Tego samego dnia Szczepański i ja zwiedziliśmy położoną na południowy wschód od obozu „Szarą Kopę" (4800 m). 12 stycznia Paryski wszedł na wzniesienie nad południowym wąwozem.

14 stycznia wysłaliśmy z obozu dwóch mulników. José Sosa pojechał do El Puesto z pocztą i po pocztę, Barrera wyruszył na pastwiska nad Rio Chaschuil po zakup baranów. Jednocześnie Paryski zwiedził dalszą partie wznoszących się nad obozem zboczy Cerro de los Patos.

15 stycznia Szczepański wszedł na grzbiet między środkowym a północnym wąwozem (ok. 4900 m), a Paryski pojechał nad jezioro. Opuściwszy razem z nim obóz, ruszyłem znad jeziora wraz z Juanem Sosą wzdłuż zachodniego jego brzegu i potem wzdłuż salaru na wywiad w stronę Nevado Pissis. Jechaliśmy cały czas tak szybko, jak tylko podołać mogły muły. Miejscami trzeba było zsiadać i przeprowadzać muły za uzdę przez jakąś stromiznę. W powrotnej drodze wyszukaliśmy nieco lepsze objazdy. Postanowiłem jednak szukać innej drogi pod Nevado Pissis. Tego dnia byłem dopiero drugi raz przeszło 10 godzin niemal bez przerwy w siodle. W drodze powrotnej było tak zimno, że zmarzły mi zupełnie stopy. Wróciłem porządnie zmęczony, ale stwierdziłem, że zaczynam nabierać smaku w raidach po punie. Obiecuję sobie, że to nie ostatni. Tymczasem trzebo będzie jednak zrobić przerwę dla pieszych wędrówek na szczyty. Czuję pewną emocję przed sześcioma tysiącami metrów, które dla trzech spośród nas są nieznanym. Ale mamy już przecież aklimatyzację.

6. CERRO DE LOS PATOS (6250 m).

16 stycznia Paryski przeprowadził badania lekarskie i uznał, że spokojnie możemy już ruszyć na większe wysokości. Szykujemy się więc do drogi dzieląc rzeczy i żywność. Wybieramy się na 2—3 dni. Jutro rano nastąpi wyjazd. Tymczasem po obiedzie pogoda się psuje. Silny wiatr i zachmurzenie zupełne.

17 stycznia o godz. 11.20 ruszamy na mułach drogą zwiedzoną przez Paryskiego. Towarzyszy nam młodszy Sosa. Z północnego wąwozu wydostajemy się boczną dolinką. Początkowo zupełnie łatwo, ale już niebawem utrudnia nam posuwanie się płat śniegu zalegający dno wąwozu. Wyminąwszy go spotykamy maleńkie penitenty — wyżej przyczaiło się przed wiatrem całe ich pole. Muły w drodze pod górę jakoś wyraźnie „puchną". Najgorzej idzie się mojemu. Co kilkanaście kroków musi przystawać i długo, ciężko dyszy. Zauważyłem, że stosuje ten sam sposób przed andyjską *puną* — chorobą górską — co i mulnik polskiej wyprawy na Aconcagua. Wciągając powietrze, przytyka od czasu do czasu nozdrza do piargu. Wygląda to, jakby wąchał kamienie.

O godz. 13.40 wjechaliśmy na wysokość ok. 4900 m. Tu zsiadamy z mułów i odsyłamy je na dół. Przecinamy pole śniegu i dążąc stale po zach. stronie lekko wznoszącego się pd. zbocza Cerro de los Patos, zakładamy obóz na wysokości ok. 5550 m. Czasy mamy bardzo różne. Osiecki dotarł tam o godz. 17.25, Szczepański o godz. 17.40, ja o godz. 18.00, Paryski o godz. 18.10. Obciążenie plecakiem po 13 kg na osobę. Zaczyna prószyć anemiczny śnieżek, przed którym chowamy się w namioty szturmowe. Ja śpię ze Szczepańskim. Gotowanie na Mecie trwa fantastycznie długo.

18 stycznia wyruszamy z obozu o godz. 10.35. Droga, którą celowo wybraliśmy na szczyt, jest najdalsza. Można było na mułach podjechać z bazy o wiele bliżej pod wierzchołek omijając cały wydłużony ku południowi grzbiet Cerro de los Patos. Nie zrobiliśmy tego jednak traktując to wejście jako doświadczalne.

Powoli posuwamy się w górę porzucając stronę zachodnią dla wschodniej, która chroni nas przed wiatrem. Pod koniec, w kopule szczytowej piarg spiętrza się, wyprowadzając nas na rozległy wierzchołek. Osiecki wchodzi na szczyt o godz. 15.25, Szczepański o godz. 15.40, ja o godz. 15.48, Paryski — który tę drogę przebył prawie bez odpoczynku, ze zdumiewającą równością kroku — o godz. 16.15. Na szczycie silny wiatr utrudnia mi wzięcie azymutów. Osiecki fotografuje i znajduje ślady obecności człowieka w postaci pirek i kawałków drewna. Wznosimy kopczyk z kamieni i na kilka minut przed godz. 17 opuszczamy szczyt. Po niecałej godzinie osiągamy obóz. Osiecki i Paryski schodzą dalej, docierając o godz. 20.10 do bazy, gdzie wita ich Barrera, który w przeddzień wrócił z baraniną.

Szczepański i ja zapominamy na śmierć o baraninie i z ochotą zostajemy na jeszcze jedną noc. Obie noce spałem świetnie. Nazajutrz (19 stycznia) wracamy wolno do bazy robiąc zdjęcia, szkice i wygrzewając się na słońcu.

7. DALSZE WYWIADY I PIERWSZA PRÓBA WEJŚCIA NA NEVADO PISSIS.

Cerro de los Patos był pierwszą próbą naszych możliwości wysokościowych. Zbadać je ostatecznie mieliśmy podczas wspólnego wejścia na Nevado Pissis. Dopiero na jego podstawie miałem zamiar zestawić dwie najbardziej zgrane dwójki, które by w dalszym ciągu Wyprawy pracowały samodzielnie. Problem ten tym bardziej był skomplikowany, że z wyjątkiem Paryskiego i Szcze-

pańskiego, którzy kiedyś odbyli wspólną wycieczkę w Tatrach, nigdy uprzednio po górach ze sobą nie chodziliśmy, ani nie mieliśmy żadnej wspólnej wspinaczki. Przy doborze towarzyszy na Wyprawę nie kierowałem się żadnym wspomnieniem wiążącej mnie z partnerem liny. Wyprawa andyjska, to był pewien cel i szereg zadań do wypełnienia. Ryzykując stratę przyjaciół wybrałem na uczestników Wyprawy ludzi, którzy, przy uwzględnieniu wszelkich okoliczności, w moim pojęciu najlepiej się do zrealizowania tych zadań nadawali. Nie przerażało mnie to, że ludzie ci dopiero w Andach będą musieli poznać się bliżej i nauczyć razem chodzić. Była to przecież tylko jedna z okoliczności stanowiących podstawę wyboru towarzyszy — w związku z ich poziomem kulturalnym zgoła nie najważniejsza. Toteż doboru dwójek miałem dokonać nie na gruncie wzajemnych sympatii, lecz — jak już wspomniałem — na podstawie zbliżonych możliwości alpinistycznych.

Nevado Pissis jest szczytem bardzo odległym od Tres Quebradas. By móc go zaatakować, należało znaleźć najłatwiejszy do niego dojazd. Jak dotąd, odbyłem w tym celu wywiad wzdłuż salaru. Teraz chcieliśmy spróbować możliwości przedostania się wprost na południe od naszej bazy. W tym celu w dniu 22 stycznia Osiecki, Barrera i ja wyruszyliśmy w drogę pd. wąwozem. W jego dolnych partiach napotkaliśmy kamienisty próg, udało się jednak po usunięciu kilku głazów wybudować przezeń perć, po której trzeba było za uzdę przeprowadzać muły. Zamieniwszy w ten sposób przeszkodę w utrudnienie, posuwaliśmy się dalej wąwozem o coraz to łagodniejszym dnie. Kamienista droga wyprowadziła nas do jego początku. Poprzez piaszczystą kotlinę, gdzieniegdzie popstrzoną pólkami penitentów, wydostaliśmy się na rozległe, faliste *campo*. Lśniącym żwirem wysypanymi płaszczyznami nad Valle Ancho zdążaliśmy ku Nevado Pissis wznoszącemu się wysoko poza tą doliną.

Gdy wreszcie uciekający czas kazał nam się zatrzymać, Nevado Pissis był jeszcze odległy, jak się potem okazało, o 20 km. A przecież tuż przed naszymi oczami, tak blisko, wznosił się jego potężny, niestety — tak jak i całe „nasze" Andy — niefotogeniczny masyw. Azymuty, szkic okolicy i długie wypatrywanie przez lornetkę. Objaśniamy Barrerze, o co nam chodzi i zawracając nasze muły w drogę powrotną już wiemy, gdzie trzeba będzie szukać miejsca na pośredni obóz. Lecz znalezienie go wydaje się nam mocno wątpliwe. Wracamy tą samą drogą do Tres Quebradas.

Dopiero w godzinę po naszym powrocie nadciąga Paryski, który cały dzień spędził z Juanem Sosą na wywiadzie na zachód od bazy, na Portezuelo de Tres Quebradas i w jego okolicy.

Po dniu odpoczynku, 24 stycznia wysyłamy Barrerę wraz z Juanem Sosą do Valle Ancho, by wyszukali miejsce na obóz z paszą dla mułów. Wyjechawszy przez wąwóz południowy i dalej drogą ostatniego wywiadu, z *campa* obniżyli się następnie na dno Valle Ancho i przejechawszy ją do końca, znaleźli tam jedno odpowiednie miejsce, a dalej, nad Laguna Verde, i drugie, gdzie spędzili noc. Wracając wzdłuż salaru uznali, że szlak ten będzie dla nas dzięki objazdom dogodniejszy w drodze pod Nevado Pissis.

Wieczorem 25 stycznia wrócili Barrera z Juanem Sosą. Przybył również po 11-dniowej podróży José Sosa przywożąc z El Puesto korespondencję.

26 stycznia odbyły się badania lekarskie i przygotowania do opuszczenia bazy na 10 dni. Pogoda, dotąd słoneczna, psuje się. Nazajutrz rankiem, gdy opuszczamy bazę, jest znowu słonecznie. Jedzie z nami dwóch mulników. Dwa muły pod bagażem, jeden wiezie opał. Droga do obozu w Valle Ancho zabiera nam prawie 10 godzin. Pod koniec pogoda wyraźnie się psuje. Drobny śnieżek kilkoma

falami siecze nas po twarzach. Wieczorem wypogadza się, lecz w nocy pada nowy śnieg.

28 stycznia ruszamy w dalszą drogę do podnóża Nevado Pissis. Wąwóz, którym zdążamy, okazuje się jednak niedostępny dla mułów. Sąsiedni zawraca nas również. W poszukiwaniu przejścia dzielimy się na dwie grupy. Osiecki i ja jedziemy na grzbiet wznoszący się na pn.-wsch. od Valle Ancho, by stamtąd z góry wypatrzyć możliwą drogę. Potem wracamy w dolinę i wyjeżdżamy na przeciwległe zbocze, w stronę Nevado Pissis. Tymczasem Paryski i Szczepański wracają do obozu z mułami bagażowymi. Tam, widząc nadciągające nowe fale śniegu, rozbijają namioty i dopiero po przygotowaniu biwaku ruszają na swój wywiad. Po godzinie spotykamy się i wspólnie wracamy do obozu. Przejazd pod Nevado Pissis został wyszukany. Zajęło to jednak, przy zmiennej pogodzie, pięć godzin czasu. Pogoda popsuła się tymczasem zupełnie — coraz to nowa przechodzi fala śniegu. Noc bielą okrywa dolinę.

Rankiem sytuacja wygląda zupełnie beznadziejnie. Jeszcze wyjeżdżamy z Osieckim do góry. Nowy śnieg i brak widoczności oraz zmęczenie zwierząt powodują jednak decyzję odwrotu, przyjętą z aplauzem przez mulników, którzy twierdzą, że w tym miejscu panuje *puna*, która im nie daje spać. Po ośmiu i pół godzinach pośpiesznej jazdy docieramy do zacisznego „domu" w Tres Quebradas. Jeszcze nazajutrz pogoda niejasna — dopiero w dzień później, 31 stycznia, robi się znowu słonecznie. Paryski jedzie nad jezioro fotografować okryte na biało szczyty.

1 lutego odbywamy wielką naradę. Postanawiam stratę czasu, spowodowaną nieudanym atakiem na Nevado Pissis, wyrównać przez zaniechanie planu wspólnego nań wejścia i podział Wyprawy na dwie grupy. Jedna z nich pójdzie na Nevado Pissis, druga ruszy na Cerro de Nacimiento. Gdzie kto pojedzie? Ja osobiście, jako uczestnik Wyprawy, chcę iść na Nevado Pissis, ale... kierownik Wyprawy uważa, że trzeba inaczej zestawić skład samodzielnych grup. Mam jechać z Paryskim na Cerro de Nacimiento. Wyprawę na Nevado Pissis poprowadzi Osiecki, z którym pójdzie Szczepański.

8. CERRO DE NACIMIENTO (6493 m) I WYWIADY NA PÓŁNOC I WSCHÓD.

2 lutego, prawie dziesięciogodzinym marszem przerzucamy się, Paryski i ja, z 8 mułami przez zaśnieżone Portillo do Nacimiento, gdzie w widłach bocznej doliny, w Sepultura, rozbijamy namiot. Towarzyszy nam José Sosa oraz chwilowo Barrera, który ruszy stąd w dół do Las Lozas po nowy zapas świeżego mięsa. Następnego dnia podążamy ku Cerro de Nacimiento, chcąc wejść na szczyt od wschodu. Ale boczna dolina prowadzi nas dalej ku północy i w rezultacie zaczynamy, zmieniając plan, zakosami zdobywać wysokość na łatwiejszych pn.-wsch. zboczach szczytu. Pięć i pół godzin na mułach — wreszcie zwierzęta odmawiają posłuszeństwa. Darty ostrogami muł jadącego na przedzie Sosy ma całe boki zachlapane krwią, a mimo to coraz trudniej oderwać go od poziomicy w górę. Zresztą i Sosa czuje się nieświetnie. Bierzemy więc plecaki i jeszcze trzy godziny, aż do zapadnięcia nocy posuwamy się ku górze. Biwak na wysokości ok. 6000 m.

4 lutego zostawiamy namiot i trawersując ku zachodowi, a potem posuwając się prosto w górę, wychodzimy po 1½ godz. na wysoką przełęcz między dwoma północnymi wierzchołkami Cerro de Nacimiento. U stóp naszych widzimy wnętrze

rozległego krateru o niezbyt stromych zboczach, otoczone czterema wierzchołkami ustawionymi jak wierzchołki wielkiego deltoidu. Teren nie wymaga wspinaczki. Postanawiamy rozdzielić się. Paryski ma ochotę zejść na dno krateru i wyruszyć na dalszy wierzchołek, ja na najbliższy ale i najwyższy, północno-zachodni. Droga ta zajęła mi godzinę i kwadrans. Miejscami musiałem brnąć przez głęboki, uciążliwy śnieg. Kopuła szczytowa, jak wszędzie w tej części Andów, rozległa, zmuszała do poszukiwania najwyższego punktu. Azymuty, szkice, fotografie i budowa solidnego kopczyka zajęły mi dwie godziny.

Tymczasem Paryskiego straciłem z oczu i mimo usilnych poszukiwań nie mogłem go wzrokiem odnaleźć. Po zejściu z przełęczy, w 1 godz. 45 min. krawędzią krateru wydostał się na siodło pod pd. wierzchołkiem Cerro de Nacimiento i odpocząwszy, w 2 godziny wszedł na szczyt. Mniej więcej w tym samym momencie dochodziłem do naszego namiotu. Zejście trwało 45 minut. Oczekując Paryskiego zająłem się topieniem śniegu na herbatę. Zbliżał się wieczór, a mego towarzysza wciąż jeszcze nie było widać. Niebo zaciągnęły chmury, w zapadającej mgle zaczął prószyć przelotny śnieżek. Okolica, w której stał namiot, była bardzo zagmatwana, a konsekwencje nieodnalezienia go mogły być dla Paryskiego bardzo poważne. Toteż uzbrojony w latarkę wyszedłem mu naprzeciw pełniąc rolę latarni morskiej i nawołując od czasu do czasu. Wreszcie widok jego sylwetki napełnił mnie głęboką radością. Zejście ze szczytu i droga do przełęczy, na której rozstaliśmy się, zabrała mu trzy godziny czasu. Jeszcze 50 minut i odpoczywał w namiocie po 10-godzinnym marszu.

5 lutego wczesnym rankiem ruszam na wznoszący się wprost nad biwakiem pn.-wsch. wierzchołek, równy wysokością północno-zachodniemu. Dwie godziny na wejście, godzina na szczycie i 20-minutowy powrót. Zwijamy obóz i wsch. zboczami docieramy po 2 godzinach do miejsca, gdzie dnia tego czekać miał José Sosa z mułami. Okryty w *poncho,* spał smacznie. Okazało się, że muły uciekły mu wieczorem poprzedniego dnia z Sepultura w dół doliny. Dopędził je nocą i niewyspany zawrócił, by zdążyć na czas. Po dwóch godzinach jazdy w dół spotykamy przy namiocie Barrerę, wracającego do Tres Quebradas z zapasem świeżego mięsa.

Następnego dnia odpoczynek; zbiory zoologiczne.

7 lutego wyruszamy na wywiad w stronę północną, ukształtowanie terenu spycha nas jednak ku wschodowi. Po pięciu godzinach jazdy postanawiamy porzucić muły i wejść na niewielki, stożkowaty szczycik (ok. 5000 m) — nazwany potem Cerro Sosa dla uczczenia naszego najstarszego mulnika, któremu Wyprawa tyle zawdzięczała — dla wykonania zdjęć. Widok wspaniały na wszystkie szczyty od Cerro de Nacimiento aż po Nevado Incahuasi. Daleko, o 75 km w linii prostej rysuje się sylwetka Nevado Pissis. W tej właśnie chwili na jego wierzchołek wchodzili nasi koledzy.

Gdy wracamy do mułów, spostrzegam nagle z przerażeniem, że uwolniwszy się z uwięzi, uciekają one w dół. Rzucamy się więc, Sosa, Paryski i ja, w pogoń za nimi. Udaje mi się wreszcie dopaść jednego z mułów i wskoczywszy na jego grzbiet pomóc towarzyszom w łapaniu pozostałych.

8 lutego zostajemy w Sepultura. 9 lutego wyjeżdżamy na nowy wywiad na północ. Po czterech godzinach docieramy do jeziorka leżącego u stóp wspaniale symetrycznego wulkanu, Volcán del Viento (6010 m), pomiędzy Cerro de Nacimiento a masywem Nevado Ojos del Salado, tuż obok — na wschód — od łączącej je grani. Paryski zostaje nad jeziorkiem, zajęty zbiorami, ja postanawiam wejść na wulkan, skąd będzie można obejrzeć z nowego punktu tak interesującą nas, przeszło 6-tysięczną grań.

Znów boki mułów zorane ostrogami podczas 1½-godzinnego podjazdu na zboczach. Wreszcie odsyłam muła wraz z Sosą. Po dwóch godzinach mozolnej drogi staję zdyszany na krawędzi krateru. W tej chwili uderza wiatr tak mroźną falą, że zaledwie mogę zrobić jedno zdjęcie i rzucić okiem na okolicę. Drętwieję zupełnie z zimna, więc spiesznie opuszczam krawędź krateru. W pół godziny jestem przy mułach, gdzie czeka również przybyły znad jeziorka Paryski.

Jest już późno, a wracać mamy nową drogą, toteż gnam swego wierzchowca, by jak najdalej zajechać przed zapadnięciem ciemności. Gdy Paryski z Sosą przybywają do Sepultura, czeka już na nich ogień. Po przeszło 12 godzinach, jakie nam zajął wywiad, z rozkoszą zasiadamy wokół ogniska.

10 lutego zwiedzamy jeszcze okolice Sepultura. Paryski wydostaje się na grzbiet wznoszący się naprzeciw obozu, po drugiej stronie Rio Cazadero, ja wchodzę nieco dalej na wschód, na turnię w tym samym grzbiecie. Nazajutrz wracamy do Tres Quebradas, w kilka godzin po przybyciu do bazy grupy z Nevado Pissis.

9. NEVADO PISSIS (6780 m) I LAGUNA NEGRA.

Osiecki i Szczepański wyruszyli z Tres Quebradas w dzień po nas, 3 lutego, i po 8 godzinach jazdy dotarli do obozowiska w Valle Ancho. Pojechał z nimi Bordón prowadzący dwa muły juczne z bagażem i opałem. Następnego dnia, po 4 godzinach podjazdu na zbocza Nevado Pissis, założyli obóz I na wysokości ok. 5300 m, odsyłając muły; miały one wrócić za 5 dni.

Nevado Pissis składa się z 4 wierzchołków o równej niemal wysokości, oraz szeregu pomniejszych, formujących otoczenie potężnego kotła szczytowego. Ku północy i zachodowi opadają zeń wielkie lodowce, rozdzielone pn.-zach. żebrem głównego wierzchołka. To żebro właśnie posłużyło Osieckiemu i Szczepańskiemu za drogę wejściową.

5 lutego, po 5 godz. marszu zakładają obóz II na wysokości ok. 5850 m. 6 lutego napotykają stromszy teren; 4½ godz. marszu pozwalają im założyć obóz III, wypadowy, pod granią na wysokości ok. 6250 m.

Tu zostawiają namiot szturmowy i tylko lekko wyekwipowani, ruszają 7 lutego w kierunku jednego z wierzchołków rozległego szczytu, ochrzczonego przez nas nazwą Pissis 3. Na położony pod nim taras wchodzi Osiecki w 1½ godz., Szczepański w 2¼ godz. Tu rozdzielają się: Szczepański, zdążając wprost w górę krótszą drogą, w niecałą godzinę wchodzi na wierzchołek — niedługo po nim przybywa Osiecki, który udał się z tarasu najpierw na przełęcz między Pissis 3 a Pissis 4, i stamtąd posuwał się granią.

Po ukończeniu prac na szczycie, w niecałą godzinę schodzą obaj do obozu wypadowego, który następnego dnia (8 lutego) zwijają i w niecałe 2 godziny docierają do obozu I. Tam muszą spędzić jeszcze jedną noc w oczekiwaniu na muły, które zjawiają się punktualnie i przewożą ich do Valle Alncho. 10 lutego opuszczają dolinę i odsyłają u jej wylotu muły do Laguna Verde, sami docierają poprzez rozległe *campo* do trzeciego z jezior wypełniających dno naszego basenu; nadają mu nazwę Laguna Negra. Okazało się, że wody z Valle Ancho wpadają do tego właśnie jeziora. Wśród stad flamingów objeżdżają jezioro i wzdłuż wąskiego przesmyku, wypełnionego salarem, dostają się na noc nad Laguna Verde. 11 lutego spotykamy się wszyscy w bazie głównej.

10. ODPOCZYNEK. WYWIAD W OKOLICĘ NEVADO TRES CRUCES.

Po udanych wyprawach na Nevado Pissis i Cerro de Nacimiento należał się nam odpoczynek. Poza tym trzeba było trochę czasu na doprowadzenie do porządku ekwipunku, ubrań oraz własnego wyglądu. Nagromadzone materiały obserwacyjne wymagały również opracowania. Materiału do korespondencji prasowych zebrało się też bardzo dużo. 15 lutego wysłaliśmy po raz drugi mulników do El Puesto. Pojechali Barrera i Bordón. Odwozili pocztę, a przywieźć mieli nadeszłą do nas i uzupełnić zapasy żywnościowe mulników. Popędzili też dla oddania właścicielom 6 zbędnych już, zharatanych w terenie mułów.

Teraz celem Wyprawy było wejście na Nevado Tres Cruces. Trzeba było znów pojechać na wywiad i wyszukać najlepszą drogę dla mułów. 16 lutego wyruszyłem więc ze starym Sosą. Po przecięciu szlaku prowadzącego na Portezuelo de la Cuesta Colorada, jadąc na północ wzdłuż Rio Salado skręciliśmy następnie wraz z rzeką na zachód, by po pięciu godzinach spędzonych w siodle znaleźć nad rozlewiskiem w bocznej dolinie, pod wielkim, samotnym głazem, miejsce na nocleg pośredni. Mieliśmy tu, w miejscu zwanym Ojo del Salado, nieco paszy dla mułów. Za to nie było żadnego paliwa. No i woda była fatalna.

Nazajutrz jeszcze przed świtem zaczęliśmy zbierać się w dalszą drogę. Poprzez połogie zbocza doliny, pokryte grubą warstwą „produktów" wulkanicznych, dążyliśmy ku północy. Postanowiłem przekroczyć granicę państwową i przez szeroką przełęcz między Cerro Solo (6190 m) a kopulastą „bałuchą" przylegającą do Nevado Tres Cruces, przedostać się na wschodnie, chilijskie zbocza tego szczytu. Obejrzawszy je z bliska, zawróciliśmy. Piachy, w których grzęzły kopyta, w miejscach obrywów zdradziły nam swoją tajemnicę: głęboko pod nimi leżał potężny lodowiec.

Przy słonecznej pogodzie wiatr był tego dnia silny (do 30 m/sek. w Tres Quebradas), toteż uciekaliśmy szybko w dół, postanowiwszy wrócić na noc do bazy. Urok nocnej jazdy był wielki, zwłaszcza gdy się myślało o pieczeni — *asado*. Gdy jednak po przeszło 14 godzinach ustawicznej jazdy uśmiechem witałem ognisko, pełen lęku myślałem o konieczności zejścia z siodła. I rzeczywiście, pierwsze kroki na ziemi były bardzo niepewne, a do dalszych nie miałem żadnej ochoty.

Tego dnia koledzy moi po raz drugi już „operowali" młodszego Sosę (pierwsza „operacja" odbyła się 13 lutego). Cierpiał na zatrzymanie moczu, i Paryski z Osieckim jako asystentem robił mu cewnikowanie pęcherza. Stan zdrowia pacjenta początkowo napawał mnie niepokojem, tym bardziej że musiałem się liczyć z ewentualnością odesłania go do Tinogasta pod opieką towarzysza i Paryskiego. Na szczęście jednak Sosa czuł się lepiej i stan zdrowia pozwalał na pozostawienie go z nami.

20 lutego odbyliśmy ostatnią „bojową naradę". Wszyscy moi towarzysze zgodnie twierdzili, że należy atakować jedną dwójką środkowy wierzchołek Nevado Tres Cruces, a drugą jakiś niedaleki od niego szczyt, względnie pd. wierzchołek tego masywu — tym bardziej że nie było wiadomo, który z dwóch głównych wierzchołków Nevado Tres Cruces jest wyższy, a ewentualne trudności i zmęczenie stawiały pod znakiem zapytania wejście jednej dwójki na oba wierzchołki.

Moją koncepcję równoczesnego ataku na Nevado Tres Cruces i Nevado Ojos del Salado zwalczano zgodnie z kilku powodów. A więc głównie dlatego, że na Nevado Tres Cruces, jako na zapowiedziany cel Wyprawy, musieliśmy wejść. Powinna więc iść na niego silniejsza dwójka. Drugiej dwójce, słabszej, nie można dawać trudniejszego, niż pierwszej, celu — a takim byłby bez wątpienia Nevado Ojos del Salado, na który wejście zresztą, przy naszych moż-

liwościach technicznych, jest z obozu w Tres Quebradas zbyt ryzykowne. Szczyt ten należy zostawić innej wyprawie nietkniętym. Znając już lepiej, niż my na początku, teren, wyprawa taka mogłaby się zabrać do wejścia z innej strony, dającej gwarancję dużo łatwiejszego dojazdu i wejścia.

Zgadzałem się z tym, że Nevado Tres Cruces musi być zrobiony. Dlatego też pójdzie tam Osiecki, ale nie ze mną, jak projektowano, lecz z Paryskim. Z Nevado Ojos del Salado, moim zdaniem, nie można było rezygnować nie próbując nawet wejścia. A próby nie można odkładać ze względu na późną porę. Dlatego też trzeba go zaatakować od razu. Ja, jako najlepiej znający tę grupę dzięki dokonanym wywiadom, pojadę ze Szczepańskim. W najgorszym wypadku spenetrujemy tę grupę, wchodząc na jeden z niższych wierzchołków masywu.

Choć jako uczestnik Wyprawy byłem w swoich poglądach odosobniony, wybrałem ten plan jako keirownik, ku niezadowoleniu mego partnera, nie zdradzającego żadnej ochoty na wyprawę, której szanse powodzenia określano na 5% — i ku pewnemu mojemu niezadowoleniu z tego, że oto już po raz drugi jako kierownik Wyprawy odsuwam sam siebie od wejścia na szczyt będący drugim głównym celem naszej Wyprawy.

11. NEVADO TRES CRUCES (6630 m).

Wejście Osieckiego i Paryskiego na Nevado Tres Cruces jest szerzej opisane w niniejszym zeszycie Taternika przez Paryskiego, toteż tu ograniczę mój opis do koniecznych danych.

21 lutego opuścili oni w południe Tres Quebradas i przybyli na noc do obowiska nad Rio Salado wraz z zapasem słodkiej wody i paliwa. Stamtąd, przenocowawszy wspólnie z wcześniej przybyłą naszą dwójką, wyruszyli z José Sosą drogą mojego z nim wywiadu i po 7 godzinach jazdy dotarli na wysokość ok. 5500 m na wsch. zboczach masywu Nevado Tres Cruces, gdzie założyli bazę wypadową u stóp grani między środkowym a pd. wierzchołkiem Nevado Tres Cruces.

Wejście na Nevado Tres Cruces było jednym z najtrudniejszych wejść Wyprawy. Pokonanie zerw skalnych wspomnianej grani nastręczało trudności techniczne zmuszając do uciążliwej wspinaczki z ciężkimi plecakami. Po 6½ godzinach nagła śnieżyca i silne wyładowania elektryczne zaskoczyły uczestników wyprawy na wysokości ok. 6100 m i zmusiły do założenia obozu (ok. 6000 m), wśród gęsto padającego śniegu, u stóp środkowego wierzchołka Nevado Tres Cruces.

24 lutego, po opadającym ku południowi stromym lodowcu, pokrytym grubą warstwą świeżego śniegu, osiągnęli środkowy wierzchołek Nevado Tres Cruces (6620 m) przy ponownie padającym śniegu (Osiecki w 6 godz. 25 min., Paryski w 6 godz. 50 min.). Gęsta mgła i silne zachmurzenie zasłoniły niemal zupełnie widok z wierzchołka będącego odcinkiem półkolistej grani dawnego krateru wulkanicznego. Zejście do obozu zajęło im niecałe 1½ godz. Spędziwszy w nim noc, wyruszyła wyprawa w kierunku południowym i przetrawersowawszy wzniesienie dzielące oba wierzchołki, po 2 godzinach marszu założyła obóz na przełęczy pod pd. wierzchołkiem. Stąd Osiecki zszedł do bazy wypadowej, gdzie zanocował pod nieprzemakalną płachtą, przeklinając podobno bardzo jej wynalazcę.

26 lutego Paryski wchodzi samotnie na południowy wierzchołek Nevado Tres Cruces (6630 m) i zwiedza jego długą szczytową grań, po

9 godzinach powracając do swego obozu. Następnego dnia zwija obóz i schodzi do bazy, spotykając tam Osieckiego, który w międzyczasie zwiedzał i fotografował jej okolicę. Tegoż dnia przybywa po nich José Sosa z mułami. 28 lutego Osiecki i Paryski pozostawiają bagaż i mulników nad Rio Salado i przejeżdżają do bazy w Tres Quebradas.

12. NEVADO OJOS DEL SALADO (6870 m).

Grupa mająca atakować Nevado Ojos del Salado (Szczepański i ja) opuściła bazę w Tres Quebradas o kilka godzin wcześniej od grupy udającej się na Nevado Tres Cruces. Po dojechaniu do obozowiska nad Rio Salado, chciałem jeszcze wejść na zbocza objętego kolanem rzeki, nienazwanego szczytu, wznoszącego się na południe od obozu. Po stromych, piarżystych zboczach „Czerwoniaka" (jak go nazwaliśmy) muły wspinały się z wysiłkiem, choć mocno z Juanem Sosą gnaliśmy je do góry.

Chciałem koniecznie jeszcze raz obejrzeć przez lornetkę upatrzony mniej więcej punkt, do którego według moich obliczeń należało dojechać mułami, by z pewnym prawdopodobieństwem wyruszyć dalej na pieszą wędrówkę poprzez labirynt sześciotysięcznych szczytów dzielących nas od najwyższego wierzchołka masywu Nevado Ojos del Salado. Nie ulegało wątpliwości, że zabieramy się do wejścia od strony, gdzie droga będzie najtrudniejsza. Wiedziałem, że skazani będziemy na wędrówkę po wertepach, przez które doprowadzić do niewidzialnego szczytu może nas tylko instynkt alpinisty. Wiedziałem już wtedy, że łatwiej byłoby osiągnąć szczyt od północy, ale okólna droga zabrałaby zbyt wiele czasu. Zresztą konieczność obejścia względnie przekroczenia kilku sześciotysięcznych grzbietów na naszej drodze, dodawała pewnego smaku tej ciężkiej robocie, jaką było nieokraszone wspinaczką wejście, na które nie braliśmy ze sobą liny. Plecaki były i tak dostatecznie ciężkie. Liczyłem, że wejście od wypatrzonego, zresztą z wielkiej odległości, punktu na obóz pośredni może zająć do 6 dni czasu. To był maksymalny okres, na jaki można było zabrać ze sobą żywność. Powyżej tego okresu dodatkowy ciężar obniża już zbytnio i tak bardzo powolne tempo posuwania się naprzód. Istniała wobec tego konieczność dojechania do upatrzonego punktu mułami, choć szanse wykonania tego były nader nikłe.

22 lutego wcześnie pożegnaliśmy towarzyszy wyruszając znad Rio Salado poprzez rozległe *campo* do stóp łańcucha zamykającego dalszą drogę na północy. Kamienisty, trudny miejscami wąwóz wyprowadził nas na przełęcz u jego wsch. krańca. Dalej, lawirując wśród rozlewnych w kształtach, górzystych „wysp" i przerąbując się przesmykami przez pola penitentów, wymijaliśmy lodowce podążając w górę piaszczystymi zboczami. Juan Sosa dawno już uważał, że dalej wyjechać się nie da, a Szczepański nęcił bliskimi zboczami najwyższego między Nevado Ojos del Salado a Cerro de Nacimiento wierzchołka, u stóp którego przewijała się nasza maleńka *tropa*. Był moment, gdy i ja zwątpiłem, wpatrzony w gładziznę niskiego, lodowego progu kładącego się na naszej drodze barierą „nie do przebycia dla mułów". Ale gdy mój skłuty ostrogami wierzchowiec, zdopingowany przerażeniem, rozdygotany, przebrnął w kurczowych rzutach zaporę, ruszył za nim natychmiast i Sosa — i dalej, wymijając po miałkim piasku coraz bardziej karłowate penitenty, łatwo dotarliśmy do „upatrzonego punktu", położonego na wysokości ok. 5800 m.

Stąd odesłaliśmy muły. Dno obszernej kotliny było wypełnione płytkim jeziorem o lodowatej wodzie, przystrajającej się na noc w lodową skorupę, prędko

tającą w blasku słońca. Od wschodu zamykał nam widok jeden z tych symetrycznych, ściętych, wulkanicznych stożków, które tworzą jedną z najcharakterystyczniejszych cech krajobrazu tych okolic. Od północy spływały ku nam lodowce kończące się miejscami nad jeziorem prostopadłą, lśniącą w słońcu ścianą. Za nimi wznosiły się liczne, pogmatwane grzbiety, po przejściu których miałem nadzieję ujrzenia w oddali najwyższego wierzchołka Nevado Ojos del Salado.

23 lutego wyruszyliśmy z obozu pozostawiając w nim jeden z dwóch zabranych namiotów, zapasowy skład żywności oraz juki i siodła. Pierwszego dnia marszu mieliśmy drogę bardzo prostą. Poprzez piachy, śnieżne pola i lodowiec dotarliśmy do stóp wznoszącego się nad nim grzbietu. Jego strome, piarżysto-skaliste, kruche zbocza, wymagające chwilami nad wyraz mozolnej ze względu na ciężar plecaków, choć technicznie zupełnie łatwej wspinaczki, wyprowadziły nas na piaszczystą kopułę grzbietu, pokrytą labiryntem kilkumetrowych wałów kamieni zasłaniających stale widok niemal ze wszystkich stron. Niskie te skałki, zakrywające horyzont, kazały myśleć o piaszczystej plaży. Chodząc po niej, można było przypuszczać, że w okolicy nie ma żadnych gór, a już za następną skałką staniemy nad brzegiem rozległego oceanu. Jak na wysokość 6400 m, było to wrażenie dosyć oryginalne.

Po 5½ godzinach marszu postanowiliśmy rozbić namiot. Pogoda psuła się wyraźnie, zaczął padać gęsty śnieg. Z obawą patrzyłem na jego wielkie płatki, zaniepokojony przy tym bardzo samopoczuciem Szczepańskiego, któremu przynoszenie kamieni dla umocnienia namiotu sprawiało wyraźną trudność. Nocą śnieg posypywał nadal i wgniatał do wnętrza ścianki namiotu. Spałem jednak świetnie i czułem się znakomicie wychodząc rankiem na naszą zaśnieżoną plażę. Poranne słońce zaczynało już na punie swoje zwykłe czary z białą, kilkunastocentymetrową pokrywą. Nieraz z ogromnym zaciekawieniem przyglądałem się, jak w miejscach gdzie padły jego promienie szybko i tajemniczo znikał śnieg zostawiając suche podłoże. Często granica jego zasięgu była zupełnie identyczna z granicą cienia. Dziwną swą magią słońce łączyło wtedy pojęcie cienia z bielą.

Roztopienie śniegu i ugotowanie śniadania na Mecie, wygrzebanie się ze śpiwora, wysuszenie i zwinięcie namiotu zabierało nam dużo czasu. Trzeba było zresztą czekać na słońce dla podjęcia dalszego marszu. Tak schodziły nam pierwsze 3—4 godziny dnia.

Niedługo po wyruszeniu z obozu, przebrnąwszy przez labirynt kopuły, wydostaliśmy się na zwężającą się grań, gdzie stanęliśmy wobec niespodziewanej trudności. Grzbiet nasz urywał się tu wszędzie niemal pionowym progiem o wysokości kilkunastu lub kilkudziesięciu metrów. Bez liny ryzykownie i trudno byłoby go pokonać w zejściu i wydawało się, że już tu załamie się nasza próba. Obejście było połączone z cofnięciem się i znacznym nałożeniem drogi. Szczepański proponował wobec tego zaniechanie próby wejścia i zadowolenie się jakimś innym okolicznym szczytem, tym bardziej że u stóp naszych leżał szeroki lodowiec, a za nim dosyć wysoki poprzeczny grzbiet, nie pozwalający i nadal zorientować się, jak daleko jeszcze znajduje się nasz cel.

Nie zgodziłem się jednak na to. Uważałem, że winniśmy poszukać możliwości zejścia. I znaleźliśmy ją. Ze wszystkich posiadanych pasków i paseczków, przedłużonych o czekany, skonstruowaliśmy „linę", która była znacznym ułatwieniem. Najprzód zeszedł Szczepański, potem spuściłem na dół rzeczy, wreszcie zdjąwszy buty zeszedłem sam. Dalej w dół było już zupełnie łatwo. Straciliśmy jednak jakieś 100 m na wysokości. Przed nami leżało teraz wielkie pole śnieżne o powierzchni, jak się zdawało, umożliwiającej łatwe posuwanie się. Czekało nas tu jednak duże rozczarowanie. Powierzchnię lodowca tworzyły niskie peni-

tenty przysypane świeżym śniegiem, który wygładził ją, nie mógł jednak utrzymać ciężaru człowieka. Zamiast wędrować po gładkim śniegu lub przedzierać się między penitentami, musieliśmy tu chodzić i skakać po ich wierzchołkach. Toteż przed każdym krokiem trzeba było zrzucać czekanem świeży śnieg, by uniknąć przykrego zapadania się w niegłębokie lecz męczące, ciasne szczeliny.

Przebrnąwszy wreszcie przez ten pas pułapek, zmordowani, przy znów padającym śniegu rozbiliśmy obóz, po niemal 7 godz. marszu, na wysokości ok. 6400 m, na zach. grani zagradzającego nam drogę szczytu. Tego dnia, nie zdobywając wysokości, przebyliśmy jednak znaczną przestrzeń.

Noc mieliśmy zupełnie pogodną. Nazajutrz, znów obniżając się o kilkadziesiąt metrów, osiągnęliśmy przełęcz położoną poza omijanym przez nas od zachodu szczytem i z niej ruszyliśmy wprost w górę na nowy, zagradzający nam drogę grzbiet, chcąc z jego wierzchołka upewnić się, czy się posuwamy we właściwym kierunku. Z siodła, leżącego w jego szczytowej grani, ukazał się po raz pierwszy z bliska skalisty, bezśnieżny, pionowo ku zachodowi opadający wierzchołek Nevado Ojos del Salado. Oddzielał nas od niego jeszcze jeden, niewiele od naszego wyższy, ponad 6700 m wzniesiony wierzchołek. Chcąc tego dnia dotrzeć jak najbliżej naszego celu, postanowiliśmy obejść go dołem od wschodu. Udało się to w zupełności. Namiot rozbiliśmy na wysokości ok. 6600 m, na wsch. zboczach omijanego szczytu, zbudowawszy w tym celu na stoku specjalną platformę.

Pogoda nad wieczorem zepsuła się niepokojąco, stawiając jutrzejsze wejście na szczyt pod znakiem zapytania. Śnieg padał bardzo gęsty, ale nocą wypogodziło się zupełnie. Dla mnie ta noc była bardzo męcząca. Przez cały czas trwania wyprawy spałem zawsze jak najlepiej. Ale tego wieczora postanowiłem wzmocnić pewność dobrego snu przez wzięcie preparatu bardzo chwalonego przez mych towarzyszy, przeze mnie jednak nigdy dotąd nie używanego. Jakżeż zawiódł mnie ten nasenny środek! To była właśnie jedyna noc nieprzespana i czułem wyraźnie, że cały mój organizm buntuje się, zrewolucjonizowany zażytą lekkomyślnie pigułką.

Rankiem 26 lutego, po wzajemnym zbadaniu swego tętna — czynności, jaką rozpoczynaliśmy każdy z naszych dni — i po zjedzeniu śniadania wyruszyliśmy w dalszą drogę niemal zupełnie bez obciążenia, pozostawiwszy wszystkie rzeczy w namiocie. Wschodnim zboczem, we wspaniałej, niemal zupełnie bezwietrznej pogodzie osiągnęliśmy grań szczytową tworzącą otwartą ku zachodowi podkowę. Na pd.-zach. końcu tej podkowy wznosi się dwoma małymi wierzchołkami — właściwy szczyt Nevado Ojos del Salado (6870 m).

Po $2^1/_2$ godzinach stanęliśmy na bliższym z nich. Kiedy w kilka minut potem badałem możliwości przedostania się na trudno dostępny dalszy wierzchołek, stwierdziłem ze zdziwieniem, że słyszę warkot motoru, mimo że nigdzie nie było widać samolotu. Nic innego, jak tylko wysokość mnie „wzięła" i doznaję złudzeń słuchowych — było następną myślą. Ale Szczepański, który przyszedł na zawołanie, również słyszał ów warkot, więc znów szukaliśmy samolotu. Nagle o jakieś 200 m poniżej nas zauważyłem na zach. stoku rdzawe plamy i unoszący się nad nimi wysoki pióropusz pary. W ten sposób Nevado Ojos del Salado przypominał nam, że jesteśmy w krainie wulkanów.

Dwie godziny spędziliśmy na szczycie, zajadając z apetytem wedlowską czekoladę i rozkoszując się widokiem. Widać stąd było, że jesteśmy na najwyższym wierzchołku, panującym nad całą krainą. W otaczającym nas oceanie gór myszkowaliśmy wzrokiem, wyławiając potrzebne nam wiadomości i szukając łatwiejszej drogi na powrót do bazy.

Nie chciało się nam opuszczać wybudowanego na szczycie kopczyka. Dobrze nam tu było, zacisznie i wygodnie. Starannie wypisywałem wizytówkę zastana-

wiając się: ile dziesięcioleci upłynie, zanim ją tutaj inni alpiniści odnajdą? Wreszcie trzeba było opuścić szczyt. Czekała nas daleka droga.

Jeszcze w drodze powrotnej skręciłem na przełęcz leżącą na południe od szczytu, by z mniejszej odległości zrobić zdjęcie fumaroli. Tutaj czuć było wyraźniej ten sam odór, który zaledwie poczułem poprzedniego dnia przy rozstawianiu namiotu, nie zwracając nań wtedy uwagi.

Drugą noc spałem w namiocie już dobrze, co zwiększyło jeszcze moją nienawiść do pigułek, które mym towarzyszom oddawały tak cenione przez nich usługi. Nad wieczorem mieliśmy znowu porządną śnieżycę, która przykryła wszystko białą warstwą aż do czasu ukazania się słońca.

27 lutego udało się nam szeregiem trawersów, drogą wypatrzoną z wierzchołka Nevado Ojos del Salado, przedostać przez otaczający go od południa labirynt szczytów. Przekroczywszy następnie wznoszący się na ok. 300 m, stromy łańcuch, przedostaliśmy się na jego pd. stoki i nimi, mijając górą zamarznięte jezioro położone na wysokości ok. 6000 m, zeszliśmy aż do naszej bazy, gdzie czekały nas wielkie puszki smakowitych kompotów, odpoczynek i wyczekiwanie na muły, które miały przybyć po nas 1 marca.

Nazajutrz wyruszyłem na wywiad na wzniesienie ponad obozem. Czas dłużył się niemiłosiernie, tym bardziej że w drodze powrotnej spod Nevado Ojos del Salado zgubiłem puszkę z tytoniem i teraz nie miałem co palić. A wysokość ani Osieckiemu, ani mnie (dwom palącym na Wyprawie) nie odbierała chęci palenia, i papieros skręcony na szczycie Nevado Ojos del Salado należał do najsmaczniejszych, jakie w swym życiu wypaliłem.

Tego dnia wrócili do bazy w Tres Quebradas Osiecki i Paryski po swej wyprawie na Nevado Tres Cruces, a dzień przed tym Barrera i Bordón z Tinogasta wraz z uzupełnieniem żywności i świeżą pocztą. Następnego dnia przyjechał po nas Juan Sosa z 3 mułami. Zaledwie go poznałem, tak był opatulony: dzień był zimny i wietrzny. Zjeżdżaliśmy w dół dużo lepszą, wynalezioną przez niego ostatnio drogą. W obozie nad Rio Salado zastaliśmy starszego Sosę i Bordóna, którego wysłał Osiecki z raportem o Nevado Tres Cruces, ze świeżym mięsem baranim i (o rozkoszy!) z papierosami.

Rankiem okazało się, że muły znów uciekły nam w nocy. Mulnicy puścili się za nimi w pogoń i choć obawiałem się, że znajdą zniechęcone do tego obozowiska muły dopiero w Tres Quebradas, dogonili je o wiele wcześniej i sprowadzili prędko z powrotem. Po śniadaniu Szczepański ruszył z *tropą* do bazy. Ja postanowiłem zrewanżować się „Czerwoniakowi" i z jego szczytu jeszcze obejrzeć Nevado Ojos del Salado i cały łańcuch ciągnący się aż po Cerro de Nacimiento. Półtorej godziny na mułach wraz z Bordónem wprost w górę i potem jeszcze dwie godziny mozolnej walki z piargiem. Widok ze szczytu był bardzo ciekawy, tylko niestety przy andyjskich odległościach i lornetka niewiele pomogła. Wróciwszy do mułów, nad wieczorem dziesiątego dnia od wyjazdu znalazłem się z powrotem w bazie.

13. OSTATNIE WYWIADY. VOLCAN DE COPIAPÓ (6080 m). ZEJŚCIE DO LA PUERTA.

Wejściami na Nevado Tres Cruces i Nevado Ojos del Salado program górski Wyprawy został zakończony. Kilka dni jeszcze trwały jednak prace terenowe i zwijanie obozu. Pogoda wyraźnie się psuła. 2 marca śnieg padał na szczytach. Nazajutrz odwiedził nas razem z gradem w bazie. 4 marca Paryski objechał „Kopę nad Jeziorem" (Cerro de la Laguna) wchodząc na jedno z oko-

licznych wzniesień. 5 marca ruszyliśmy na nieco dalsze wywiady. Osiecki pojechał w górę środkowego wąwozu, zwiedził go do końca i przedostawszy się do pn. *quebrady*, wrócił nią do bazy. Paryski fotografował, wyjechawszy wraz z José Sosą na jedno ze wzniesień nad szlakiem prowadzącym do Ojo del Salado. Ja zwiedziłem boczną dolinę ciągnącą się równolegle do salaru, by potem przez zamykające ją grzbiety i *campa* dostać się do pd. wąwozu i nim, po 8 godz. jazdy, wrócić do Tres Quebradas.

Następnego dnia zaczęliśmy likwidować bazę oznaczając datę jej opuszczenia na 9 marca. Dnia tego mieliśmy się rozdzielić: Osiecki miał poprowadzić Wyprawę na zachód i włączyć do jej wejść szczytowych wejście na Volcán de Copiapó. Przekazując Osieckiemu kierownictwo brałem sobie kilkudniowy „urlop", by odbyć długi raid w poszukiwaniu pirek i zebrać materiały z nieznanych dotąd okolic.

9 marca *tropa* złożona z 16 zwierząt opuściła Tres Quebradas i przez pn. wąwóz i graniczną przełęcz Portezuelo de Tres Quebradas (4886 m) przedostała się na stronę chilijską zjeżdżając do Barros Negros i do Pantanilla, gdzie po 7½ godz. jazdy zatrzymano się na biwak.

Tegoż dnia wraz ze starym José Sosą wyjechaliśmy znad Rio Salado na zach. zbocza Cerro de Nacimiento, wracając w dół już w nocy. W pewnym momencie muł juczny, spłoszony czymś w ciemności, pognał nam na złamanie karku w dół. Galopowałem za nim — mimo całego zaufania do mego wierzchowca — z duszą na ramieniu. Wreszcie jednak złapaliśmy zbiega. Badając roztrzęsione juki, z lękiem czy co nie zginęło, stwierdziłem tylko brak gumowych bukłaków wypełnionych słodką wodą. Po 13 godz. wytężonej jazdy musieliśmy się w obozowisku nad Rio Salado kontentować na pożegnanie jego ohydną wodą.

10 marca Osiecki, któremu dolegały bóle reumatyczne, zrezygnował z wejścia na Volcán de Copiapó i został w obozie w Pantanilla. Wyruszyli więc Paryski i Szczepański, którzy przebywszy w niecałe 5 godzin jazdy szereg przełęczy w oddzielających ich od szczytu grzbietach, założyli obóz wypadowy na jego wsch. zboczach, na wysokości ok. 5200 m, odsyłając stąd muły. Wejście na wierzchołek, liczący 6080 m wysokości, zabrało im następnego dnia prawie 6 godz. czasu w wędrówce po uciążliwym piargu. Na szczycie znaleźli ślady ogniska oraz dwa ciekawe podmurowania tworzące wyrównane sztucznie platformy. Przy bezchmurnej pogodzie zaskoczyły ich tam padające z jasnego nieba krople deszczu. Późniejsze oględziny okolicy zdradziły, że niesione wiatrem krople pochodziły z gorącego gejzeru znajdującego się niżej pod szczytem, w pd. grani.

Po półgodzinnym pobycie na wierzchołku, zeszedłszy szybko w dół do obozu, przybyłymi do niego mułami wrócili do obozu w Pantanilla wieczorem 11 marca.

Poprzedniego dnia, opuściwszy obóz nad Rio Salado, zwiedzałem tymczasem okolicę nadrzeczną, by następnie wraz z oczekującym mnie Sosą ruszyć szlakiem prowadzącym pod pn. zboczami Cerro de los Patos na graniczną przełęcz Portezuelo de la Cuesta Colorada czyli Paso de los Patos (4713 m) i zatrzymać się po 10 godz. na noc w opadającej na stronę chilijską dolinie, gdzie przy obfitości paszy nie znaleźliśmy ani źdźbła opału, a niewielka ilość nawozu nie pozwalała na zagotowanie herbaty. Następnego dnia zacząłem zwiedzać okolicę pieszo, jak tylko poczęło się rozwidniać, po czym w 2 godz. jazdy przejechałem do leżącego w dolinie bagniska Cienega Redonda. Tu znów do zapadnięcia nocy i potem od świtu zwiedzałem tamberię.

Tego samego dnia w południe nadciągnął Osiecki z *tropą*, po przebyciu doliny drogą z Pantanilla w 2½ godz. Opuściwszy tu szak, po 2 godz. jazdy prze-

dostaliśmy się do doliny rzeki Rio Lamas, wypływającej z zach. zboczy Nevado Tres Cruces. W Cienega Redonda pozostawiliśmy na wypoczynek jednego z okulałych mułów. Mieli go zabrać potem nasi wracający do Argentyny mulnicy.

13 marca, kostniejąc z zimna, jeszcze po ciemku wyjechałem wraz ze starym Sosą. Wzięliśmy ze sobą dwa silne, wypoczęte muły i gnali je bez litości. W górę doliną Rio Lamas, potem przez Portezuelo de Tres Cruces (ok. 4400 m) i Campo de Piedra Pómez objechaliśmy od północy masyw Nevado Tres Cruces i posunęli dalej ku wschodowi, przez Portezuelo de Piedra Pómez (4446 m), aż po Penas Blancas (czyli Barrancas Blancas). Wracaliśmy tą samą drogą — odwalając w 14 godzin setkę kilometrów. Przez cały czas towarzyszyły nam ślady koleiny, którą wiele dni temu pożegnaliśmy w dolinie Rio Chaschuil.

14 marca opuściliśmy Rio Lamas dążąc na wschód. Poprzez pd. skraj Campo de Maricunga dotarliśmy do Laguna Santa Rosa (3760 m), nad którą ciągnie się sztuczna droga pochodząca z czasów, gdy nad Salar de Maricunga pracowali ludzie eksploatujący jej bogactwo. Na noc zatrzymaliśmy się w Vegas de Santa Rosa. Paryski po drodze, robiąc zbiory, zapędził się ku północy aż prawie nad brzegi Salar de Maricunga.

Nazajutrz rankiem, stojąc na Portezuelo de Maricunga (4124 m), żegnaliśmy Punę. Długa Quebrada de Paipote, ciągnąca się ku zachodowi, miała nas doprowadzić pod wieczór 16 marca do La Puerta, gdzie mieliśmy się rozstać z naszą *tropą*.

14. POWRÓT Z GÓR.

W La Puerta — przepakowując bagaże, zmieniając strój górski na miejski i goląc swoje brody — żegnaliśmy się z górami. Nasi mulnicy, wspaniali ludzie i dobrzy towarzysze, wrócić mieli przez Tres Quebradas do Tinogasta. Opuszczając gościnną osadę żegnałem ich z prawdziwym żalem.

W Copiapó, gdzie dostaliśmy się z La Puerta samochodami, spotkaliśmy niespodzianie konsula polskiego w Santiago, p. Ignacego Domeykę, który zajął się nami bardzo życzliwie i ułatwił załatwienie całego szeregu spraw. Wizyta u intendenta prowincji, pierwsze wywiady prasowe i obolałe od chodzenia po równym asfalcie mięśnie nóg przypominały nam, że dostajemy się znowu w objęcia cywilizacji.

Z Copiapó 26 marca przedostaliśmy się do Santiago de Chile samolotem, w ciągu lotu mając po wschodniej stronie plastyczny przegląd mijanych łańcuchów andyjskich i ciesząc się szczególnie z doskonałego widoku na zwiedzoną przez wyprawę polską w 1934 r. Cordillera de la Ramada, ze zdobytym wówczas Cerro Mercedario (6800 m). W stolicy Chile zadomowiliśmy się w naszym konsulacie, nawiązaliśmy bardzo serdeczne kontakty z całkiem nielicznymi tu Polakami, oraz więzy przyjaźni z nadzwyczaj uczynnymi i gościnnymi kolegami z Club Andino de Chile, umacniając je na wspólnej wycieczce odbytej w okoliczne góry, na tereny spełniające rolę szkółki wspinania. 8 kwietnia Osiecki wygłosił w Club Andino de Chile odczyt w języku hiszpańskim, ilustrowany przeźroczami. Wreszcie nadszedł z Buenos Aires oczekiwany przez nas film z I Polskiej Wyprawy w Andy. Pokaz jego odbył się 13 kwietnia — i w nocy tegoż dnia, serdecznie żegnani przez chilijskich przyjaciół, wyjechaliśmy autem przez Andy do Mendozy.

Stąd Paryski i Szczepański przejechali do Buenos Aires koleją, by przygotować się do wyjazdu do Polski, który nastąpił 22 kwietnia na statku „Pułaski" Linii Gdynia—Ameryka. Osiecki i ja pozostaliśmy w Mendozie kilka dni, urządzając — wspólnie z serdecznie nas podejmującymi kolegami z Club de Alpinistas Mendoza — pokaz filmu. W Buenos Aires czekał nas jeszcze miesiąc pobytu (do odejścia następnego statku) w związku z likwidacją Wyprawy na gruncie argentyńskim, oraz odczyty i pokazy w Buenos Aires i Montevideo. Po moim wyjeździe (w maju na statku „Kościuszko"), Osiecki wygłosił jeszcze odczyt w uniwersyteckim mieście La Plata. Był to ostatni oficjalny występ Wyprawy na terenie południowo-amerykańskim.

15. ZESTAWIENIE WYNIKÓW ALPINISTYCZNYCH WYPRAWY.

Druga Polska Wyprawa w Andy zwiedziła cztery wielkie, poprzednio nie zbadane masywy górskie (Nevado Ojos del Salado, Nevado Pissis, Nevado Tres Cruces, Cerro de Nacimiento), wchodząc w nich na 8 wierzchołków [1]): 1) *Nevado Ojos del Salado, główny wierzchołek (6870 m)* [2]); 2) *Nevado Pissis (6780 m);* 3) Nevado Ojos del Salado, pd.-zach. wierzchołek (6720 m); 4) *Nevado Tres Cruces, szczyt południowy (6630 m);* 5) *Nevado Tres Cruces, szczyt środkowy (6620 m);* 6) *Cerro de Nacimiento, pn.-zach. wierzchołek (6493 m);* 7) Cerro de Nacimiento, pd.-zach. wierzchołek (ok. 6490 m); 8) Cerro de Nacimiento, pn.-wsch. wierzchołek (6380 m). Poza tym dokonano wejść, głównie dla celów topograficznych, na około 10 punktów i wierzchołków, w tym na dwa wielkie, samodzielne szczyty: 9) *Cerro de los Patos (6250 m);* 10) *Volcán de Copiapó (6080 m),* oraz 11) *Volcán del Viento (ok. 6010 m).* Każdy z członków Wyprawy był na kilku (3—6) szczytach sześciotysięcznych.

Dzięki wejściom szczytowym Wyprawy, przy dotychczasowym stanie wiedzy o Andach — drugi, trzeci i czwarty spomiędzy najwyższych poza Azją szczytów górskich stały się zdobyczą Polaków. Są to: Nevado Ojos del Salado (6870 m), Cerro Mercedario (6800 m) zdobyty w 1934 r. i Nevado Pissis (6780 m) — nie licząc tu oczywiście wejścia w 1934 r. na najwyższy szczyt Ameryki, Aconcagua (6955 m), które — choć odbyte nową drogą — było ósmym wejściem na ten szczyt.

W głębi gór II Polska Wyprawa w Andy przebywała około 3 miesięcy, z czego 70 dni na wysokości powyżej 4000 m. Długość szlaków przebytych przez uczestników Wyprawy na mułach wynosi ogółem ok. 1.500 km. Poszczególni alpiniści i mulnicy przebyli na mułach łącznie ok. 10.000 km, z czego na przejazd przez Andy wypada nieco ponad 3.000 km (tj. trasa długości prawie 400 km). Wyjazdy mulników po pocztę i żywność pokryły ok. 2.000 km (Barrera 930 km, José Sosa 560 km, Bordón 520 km). Na pozostałe 5.000 km złożyły się wywiady, podjazdy pod szczyty oraz jazdy mulników doprowadzających alpinistom muły lub też odprowadzających je spod szczytów (Wojsznis 1.020 km, Paryski 680 km, Osiecki 550 km, Szczepański 460 km, José Sosa 870 km, Juan Sosa 780 km, Bordón 330 km, Barrera 290 km). Poszczególni alpiniści przebyli więc na mułach w sumie od 860 do 1420 km.

---

[1] Kursywą podano szczyty samodzielne lub główne wierzchołki masywów, drukiem zwykłym — niższe wierzchołki masywów.

[2] Kwestia wysokości zdobytych przez Wyprawę szczytów jest omówiona osobno.

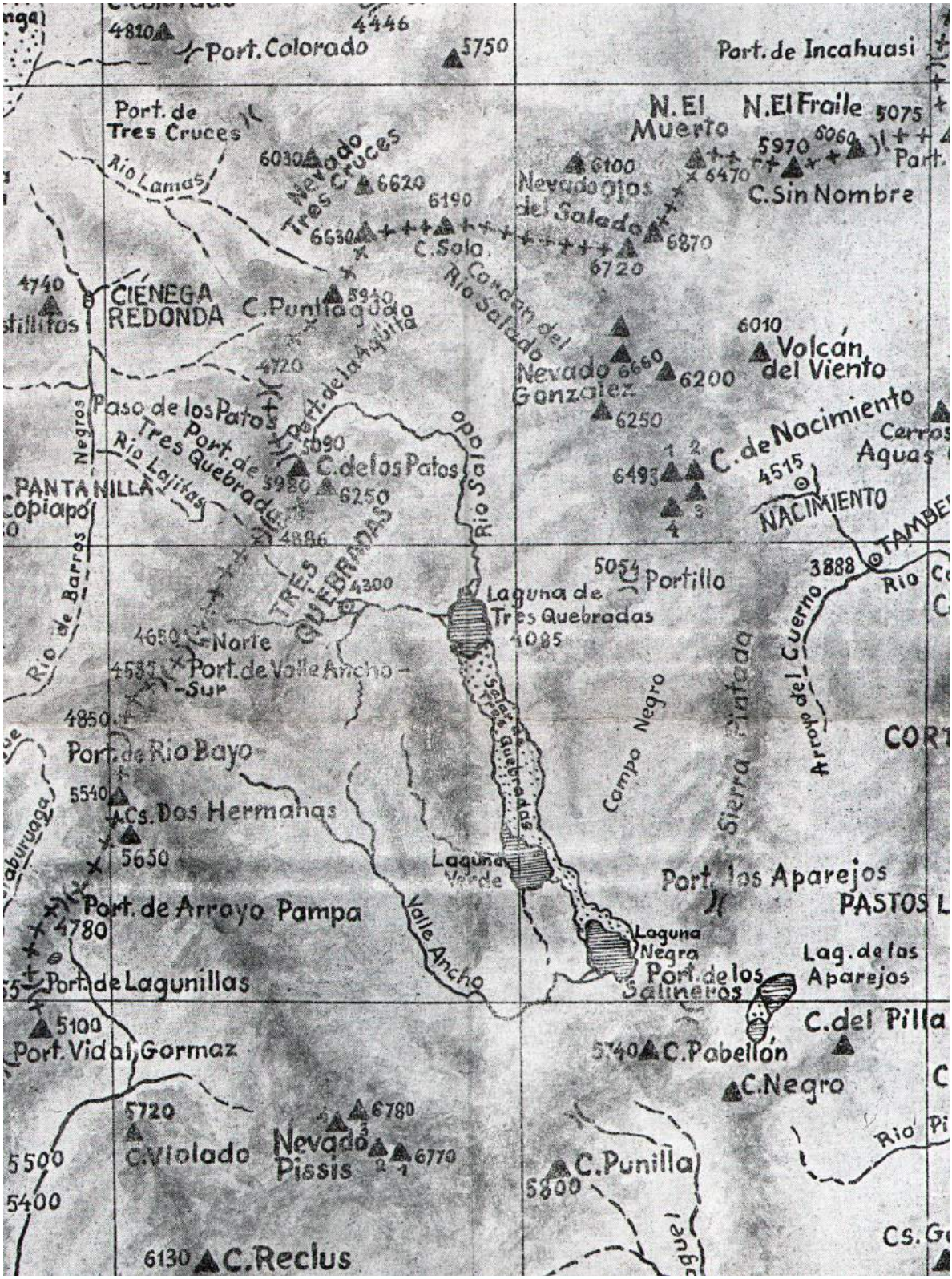
Port. Colorado
4810
4446
5750
Port. de Incahuasi
Port. de Tres Cruces
Rio Lamas
Nevado Tres Cruces
6030
6620
6190
6630
C. Solo
N. El Muerto
N. El Fraile
5075
5970
6060
6100
6470
Nevado Ojos del Salado
6870
6720
C. Sin Nombre
Cordon del Rio Salado
4740
CIENEGA REDONDA
C. Puntiagudo
5940
4720
Port. de la Aquilita
Nevado Gonzalez
6660
6200
6250
6010
Volcán del Viento
Paso de los Patos
Port. de Tres Quebradas
Rio Lajitas
5090
C. de los Patos
5980
6250
4886
Negros
PANTANILLA
Copiapó
Rio de Barros
Rio Salado
6493
C. de Nacimiento
4515
Cerros Aguas
NACIMIENTO
TAMBE
TRES QUEBRADAS
4300
5054
Portillo
3888
Rio
Laguna de Tres Quebradas
4085
4650
Norte
4535
Port. de Valle Ancho
Sur
4850
Port. de Rio Bayo
5540
Cs. Dos Hermanas
5650
Salar de Tres Quebradas
Campo Negro
Sierra Flotada
Arroyo del Cuerno
CORT
Laguna Verde
Port. los Aparejos
PASTOS L
Port. de Arroyo Pampa
4780
Valle Ancho
Laguna Negra
Port. de los Salineros
Lag. de las Aparejos
Port. de Lagunillas
5100
Port. Vidal Gormaz
5740
C. Pabellón
C. del Pilla
C. Negro
5720
C. Violado
Nevado Pissis
6780
6770
5500
5400
C. Punilla
5800
Rio
6130
C. Reclus
Cs. G

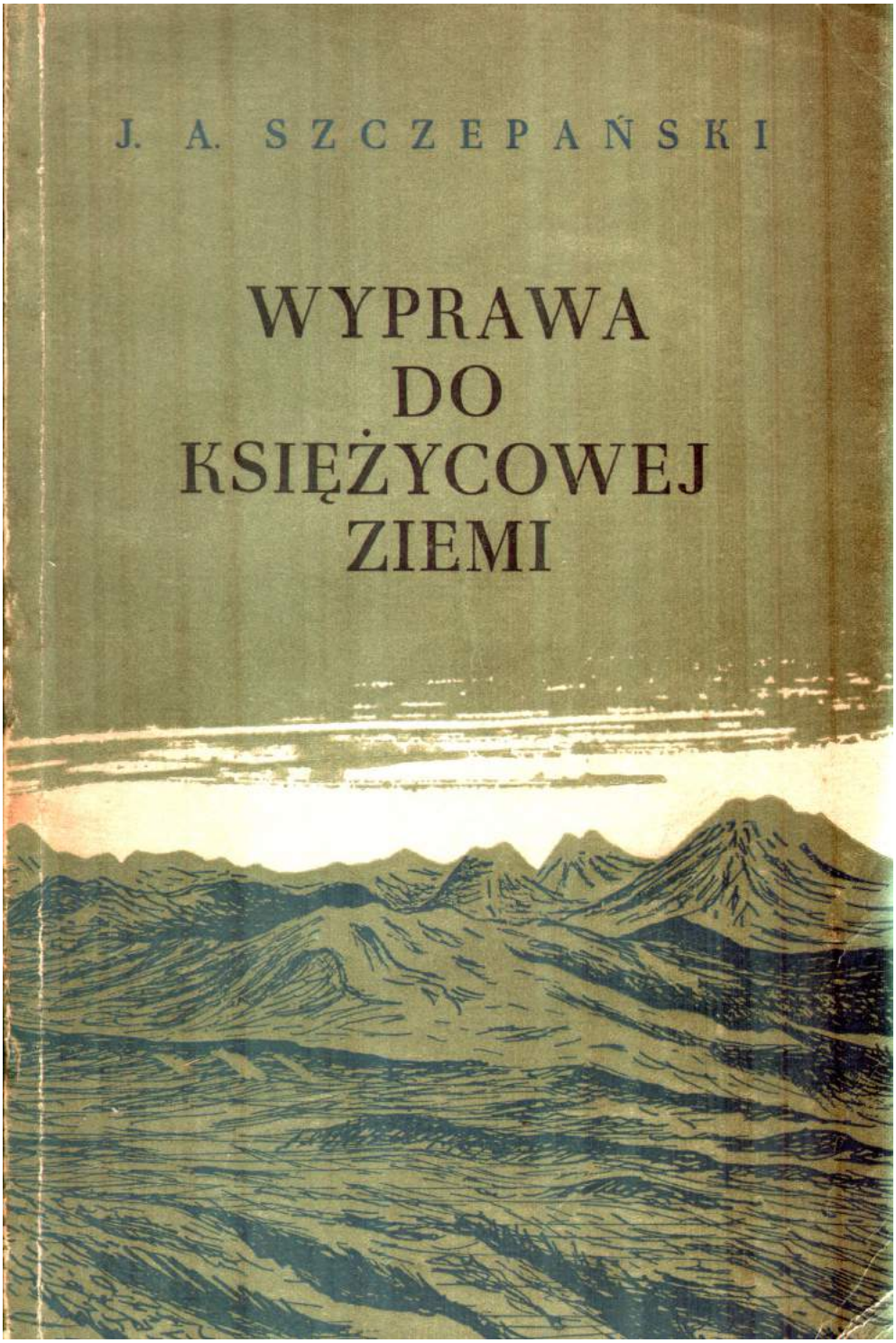
J. A. SZCZEPAŃSKI
WYPRAWA
DO
KSIĘŻYCOWEJ
ZIEMI

tego z pełnym powodzeniem eksploracji masywu Nevados de Nacimiento.

Cofnąwszy się z bazy głównej (na mułach) przez Przełęcz Portillo do Doliny Cazador (45 km), założyli tu w wysokości ok. 4400 m bazę wypadową, skąd nazajutrz osiągnęli (na mułach i pieszo) wysokość ok. 6000 m, punkt obozu szturmowego. Z obozu tego wszedł Wojsznis (4 lutego) na szczyt tzw. Nacimiento I — 6460 m. wys., a nazajutrz na szczyt Nacimiento II — 6460 m; Paryski natomiast (4 lutego) na Nacimiento IV — ponad 6300 m.

Z kolei obaj alpiniści przeprowadzili badania topograficzne nieznanych obszarów na północny wschód od Nacimientos, w rejonie doliny Sepultura, przy czym Wojsznis wszedł (9 lutego) na wulkan bez nazwy, ok. 6200 m."

NEVADO PISSIS

Dzień pierwszy

Zsiadamy z mułów i przeprowadzamy je ostrożnie przez kamienisty próg. Wąska, głęboka dolinka zwęża się coraz bardziej — jest to już typowa *quebrada*, wąwóz o skomplikowanej budowie geologicznej i powikłanych skrętach. Ściany nad parowem — stubarwne, jak zawsze w Andach — staczają się na dno wspaniałymi urwiskami. Olbrzymie kominy, głębokie rynny, potrzaskane filary obrazują cały przepych terenu skalnego. Skała jest sucha, wyschnięta. Przed drugim progiem mijamy pas skał marmurowych, za nimi wąwóz jest czeluścią wśród skał rudych i pionowych.

W głębi rozszerzają się zbocza, grubiają w żwirowe grzbiety. Grzbiety są coraz niższe — to dolinka, którą jedziemy, już o dnie płaskim i szerokim, wznosi się coraz wyżej wśród pasm i grzbietów przed olbrzymią depresją Valle Ancho.

To nie są granie, to nie są nawet grzbiety. Wjeżdżamy

na ogromne stoły, płaskowyże o niedostrzegalnym nachyleniu, góry osierdziowe Puna de Atacama. Muły posuwają się sennie, powoli. Codzienny wiatr gna na wschód. Przestrzeń jest jednakowa, otwiera się i zamyka, regularna jak dzień i noc.

Wyruszyliśmy rano, znowu z zamiarem atakowania Nevado Pissis, Osiecki i ja, młody Lorenzo, muł bagażowy, muł z drzewem na opał, wszystko jak za pierwszym razem, tylko Justyna i Witolda brak, już wczoraj pożeglowali ku Nacimiento. Wysokość ok. 4900 m, jazdy na mułach dotychczas cztery godziny, stołowe Cerros de Laguna Verde nareszcie osiągnięte.

Przed nami owa olbrzymia — jakże często przy opisach z Andów muszę użyć tego groźnego określenia, a i tak czasem wydaje mi się ono niedostateczne — depresja Valle Ancho, kraina puny i pustyni. Przejeżdżamy z Tres Quebradas wprost do Valle Ancho, najkrótszą drogą, ale terenem nie znanym mulnikom ani mapom. Dopiero podczas obecnej wyprawy wyszukali tędy nasi mulnicy stromy zjazd jedną z nielicznych *quebrad*. Teraz Osiecki wyłapuje zjazd lepszy po piaszczystym zboczu. Obniżamy się w jakąś płaską i płytką dolinkę, której suche dno kieruje się ku głównemu korytu Doliny Szerokiej. Niskie stoki połyskują żyłami skał zielonych, ceglastych i złotych. Gdy zbliżamy się bezpośrednio ku dolinie, nie ma już gór, nie ma nawet pagórów, są równo usypane zwały żwiru, jakby je jakiś cyklop zebrał do gigantycznych budowli. Droga wlecze się długa i monotonna. „Dolina na Punie — to nieskończoność. Nieskończoność szutru, nieskończoność piasku" — pisał Penck. Wreszcie krzyżujemy jedno ze żwirowisk i wstępujemy w główne łożysko Valle Ancho, w którym wije się i podmywa żwiry słona struga Rio Ancho.

Miałem już sposobność zaznaczyć, że dolinie Szerokiej trzeba przyznać pierwszeństwo w pawiej jaskrawo-

ści barw. O pięknie skał andyjskich nie zapomniał opowiedzieć żaden podróżnik, z zachwytem epicznym czy lirycznym. Skały Ancho były piękniejsze od najpiękniejszych. Aż poczęły nużyć i nudzić, jak każde piękno jednostronne i dekoracyjne. Dopiero wówczas otwarł się widok na grząskie boisko, murki, wykap, niefortunny nasz obóz styczniowy. Natychmiast, jak na złośliwe zawołanie, pomnożyła się ilość mgieł i prychnął śnieżek. Zrezygnowanie popędziłem muła, zapadł się po brzuch w namokły, parchaty żwirek. Ledwom go wybódł ostrogami z mlaku.

Niebawem ognisko, posiłek, namiot szturmowy, śpiwory, sen.

Dzień drugi

Stromym zboczem dźwigamy się z doliny w stronę masywu Pissis. Zbudowany piętrami: podstawa Ancho, próg, górne wklęśnięcie Puny, próg, stołowe góry Puny, płaskowyż najwyższy, próg — i dopiero posad skalny Pissisu, granie Pissisu, ramiona Pissisu, żebra i filary, tworzące nowe stopnie, progi, trabanty. Stosownie do tej budowy — 20 km dzielące bazę wypadową Ancho od ścian Pissisu trzeba jeszcze przebyć w czterogodzinnej urozmaiconej jeździe na mule. W ostrych zakosach wspinamy się na pierwszy zwał ponad Ancho, drogą wypatrzoną już w ubiegłym miesiącu. Po pochyłym polu kamiennym zjeżdżamy do płytkiego wąwozu, jednego z tych, których dolne progi zatrzymały nas w styczniu. Długo jedziemy dolinką, wgłębioną nieznacznie w stołową wyżynę. Pudełkowe, skromne skały nie pozwalają zasnąć oczom. Żółte żyły pirytu do złudzenia (dla laika) przypominają złoto, aż im się Lorenzo przygląda z niepokojem. Długim łukiem obejmuje dolinkę od wschodu *campo* pod Pissisem i dobiega do stóp wschodniego lodowca Pissis. Ścinamy ten łuk po cięciwie i wjeżdżamy na najwyższe *campo*.

Dotychczas nawet w Andach nie widziałem tak potwor-

nej pustyni i martwoty. Na wysokości 5000 m trwa kamienna równina, gładka jak powierzchnia wody w spoczynku. Drobny, zbity żwir układa się w polarne wzory, figury, arabeski. Wiatr smuży tu *campo* — zawsze. Nawet muły — te niezniszczalne maszyny, tak nieczułe na wiatr i wysokość! — stąpają ciężko, odwracając łby od prądu. Pierwsze muły pod Pissisem.

Przed nami wznosi się góra widoczna jak na dłoni. Nie znajduję porównań. To nie jest góra w pojęciu europejskim. To masyw andyjski, a więc wyosobnione gniazdo skalne, samo dla siebie, rozmiarów ćwierci Tatr. Cztery główne wierzchołki (napiszmy lepiej: samodzielne szczyty) składają się na Nevado Pissis, wierzchołki ustawione parami: para północno-zachodnia i para południowo-wschodnia. Łączy te szczyty śnieżna, niebosiężna, poszczerbiona grań, spod pośredniego siodła spływa ku północnemu wschodowi ogromny lodowiec. Istnienia owego lodowca domyślał się Penck w widoku z Portillo. Teraz ten lodowiec stał się pewnikiem.

Dwie mamy możliwe drogi tam na górę: lodowcem do szczytów południowo-wschodnich lub śniegiem i skałami ku szczytom północno-zachodnim. Przede wszystkim: gdzie leży punkt najwyższy? Zgadzamy się, że jest nim wschodni wierzchołek północno-zachodniej pary, umieszczony dość centralnie w masywie. (Jest on zresztą najwyższy nie tylko w oczach, lecz i na mapach Riso Patrona.) Określamy go jako Pissis III, rezerwując dla niższego bliźniaka numerację Pissis IV, a dla pary południowo-wschodniej określenie Pissis I i Pissis II.

Który ze szczytów zaatakować? To jasne, że najwyższy! Wybór drogi nie jest więc właściwie trudny. Bez żalu rezygnujemy z prawdopodobnych pułapek lodowca, obierając szlak północny. Pomiędzy *campo* a zwałem Pissisu zapada jeszcze jedna depresja, jeszcze jedna dolina wypełniona rzekami żwiru i wód śniegowych, głębinowa,

bezludna, bezzwierzęca, bezroślinna. Wysokość ok. 4800 m. W cieniu — penitenty. Dopiero sponad nich wznoszą się grzędy Pissis już bez przerw dwa tysiące metrów w górę.

Z *campo* do depresji około 200 m w dół, a potem już ostatecznie w górę, po wciąż stromszym zboczu, wymijając śnieg. Wydostajemy się z mozołem na grzędy, la wirując wśród wciąż gęstszych chórów pokutniczych, i zatrzymujemy się u grupy głazów przy pólku śnieżnym. Głazy dadzą ochronę przed wiatrem, spod śniegu w ciągu dnia cieknie obmarzły strumyk.

Tu będzie baza wypadowa. Lorenzo szybko rozjucza muły i zabiera je z powrotem na dół. Za pięć dni ma po nas powrócić. Rozpinamy namiot szturmowy, gotujemy na prymusie naftowym, wsuwamy się w śpiwory, śpimy.

Dzień trzeci

Nim słońce wzejdzie, śniadanie i wór szturmowy na plecy. Ruszamy w górę równolegle do głównej, północnej grani. Dość wygodna rynna śnieżna. Dzień minie, nim ją przejdziemy w całości. Na ramieniu nad rynną stoją kolosy kamienne, zmodelowane w niesamowite maszkary i rozczapierzone w drzewa skalne, pełne wyżłobień, jam, dziur i zapadlin, tuneli przez głaz przebitych na wylot, nieckowatych zagłębień i koślawych ramion. Zjawiska denudacyjne są najbardziej pokazowe, gdy wiatr szlifuje piaskiem. Wśród skał Pissisu erozja wietrzna osiągnęła najwyższy stopień doskonałości.

Rynna wywodzi na rodzaj bocznego, dość szerokiego grzbietu, który zalega pole śnieżne. Widok już w wielkie dale, ale dla nas ważniejszy jest ściślejszy wgląd w konfigurację samego Pissisu: wykrywamy między innymi mały lodowiec po północno-zachodniej stronie masywu u stóp osobnego szczytu (Pissis V), który „na oko" oceniamy na ok. 6000 m wys.

Pod koniec marszu znów znajdujemy niezłą osłonę od wiatru, wyrównujemy podłoże i rozpinamy namiot szturmowy. Widok imponujący, pogoda sprzyja. Wytapiamy wodę ze śniegu, którego już pełno dokoła. Kuchenki metowe pracują zabójczo wolno. Na kolację składa się herbata i osiem łyżek owsianki, z której nic prawie nie jem. Na ostrą, mroźną noc ubieramy się możliwie ciepło.

Dzień czwarty

Rano pomału gotujemy posiłek, nie odczuwam apetytu, przełykam tylko kubek owomaltyny z mlekiem i cukrem — i Stefan z sześciu łyżek papki owsianej wylewa połowę — zwijamy obóz i znowu w górę. Ponad nami, jak niedawno Cerro de los Patos, przysiadł pozornie blisko kopulasty, ośnieżony garb, ramię Pissis III, kryjący w sobie górne pole śnieżne, analogiczne do miejsca naszego biwaku z dzisiaj. Plecak z jedzeniem i ekwipunkiem szturmowym ciąży nieznośnie. Teren staje się coraz bardziej stromy, wreszcie wspinamy się ku grani wśród wielkich, żółtych bloków, spojonych śniegiem. Stefan, przed trzema laty współzdobywca Aconcagua i Mercedario, posuwa się spokojny, zrównoważony, pewny siebie. Co do mnie, idę wolniej, lecz również bez lęku o wynik. Brak tlenu wzbrania mi jeść i osłabia mięśnie. Cóż stąd? Organizm ma dość rezerw, bym nie miał iść wciąż w górę, stopień po stopniu, w górę, w górę. Ba, im wyżej, tym lżej mi się wspinać, gdyż uwzględniając brak apetytu, bezlitośnie redukuję ilość żywności dźwiganej na plecach.

Na grani wydziwia wiatr, ale tuż pod jej ostrzem wyszukujemy niezłe miejsce na obóz. Znów wyrównujemy dno i rozpinamy namiot — jakaż to męcząca praca! — i próbujemy coś jeść. Ale apetytu ani za grosz. Stefan je minimalnie, ja znów tylko owomaltynę łykam z mlekiem w proszku. Śnieg na mecie topi się z rozpaczliwą powol-

nością. W namiocie i poza namiotem wieje przenikliwy mróz. Widok jest daleki i wstrząsający. Na brak snu i stan psychiczny nie możemy się uskarżać.

Rano powiada Stefan, że podczas snu miałem chwilami oddech Cheyne-Stokesa. Być może... Tempo tętna jest wątpliwe, przy ciężkiej pracy rozpinania i umacniania namiotu zmęczenie nie było proporcjonalne do ilości pokonanych w ciągu dnia metrów. To prawda. Ale gdym skulony na cyplu ziemi nad oceanem powietrza zasypiał w najwyższym obozie, wiedziałem, że nazajutrz wejdę na Nevado Pissis.

Dzień piąty

W dniu 13 lutego 1937 roku datowała wyprawa z obozu głównego w Tres Quebradas następujący komunikat:

„Uczestnicy drugiej polskiej wyprawy w Andy, Stefan Osiecki i Jan Alfred Szczepański, dokonali w dniach 3—11 lutego powodzeniem uwieńczonego wejścia na Nevado Pissis.

Przedostawszy się (na mułach) z bazy głównej wprost przez stołowe grzbiety Puny do doliny Szerokiej, w nocy z 3 na 4 lutego obozowali w tej dolinie na wys. ok. 4200 m. Stąd 4 lutego osiągnęli (na mułach) najniższe zbocze posadu skalnego Pissisu, gdzie w wys. ok. 5300 m założyli bazę wypadową. Z bazy tej rozpoczęli następnego dnia systematyczny marsz w górę, stosując zwykłą metodę atakowania wysokich szczytów egzotycznych, mianowicie zakładania coraz wyższych obozów w miarę zdobywania wysokości. W wyprawie na Pissis kolejne obozy wypadły na wys. ok.: 5300 m, 5850 m i 6250 m.

Z ostatniego, najwyższego obozu obaj alpiniści w dniu 7 lutego dotarli od strony północnej na wierzchołek centralnego, najwyższego szczytu masywu Nevado Pissis — wysokość 6780 m n. p. m.

Tym sposobem obok Aconcagua (7000 m) i Mercedario

(6800 m), dwóch najwyższych szczytów Ameryki, zdobytych przez polską wyprawę w Andy w 1934 r., również i trzeci szczyt Ameryki został zdobyty przez Polaków."

*

Chciałbym teraz uzmysłowić pewien element zasadniczy, który nie uzewnętrznił się w dotychczasowej skróconej relacji, a który był elementem głównym. Było nim zagadnienie wysokości, stanowiące o wielkości i trudnościach gór, a tym samym o wielkości i trudnościach Andów.

Wejście na Pissis? Podjechano na mułach aż na jego zbocze, zaledwie niespełna półtora tysiąca metrów dzieliło stąd od wierzchołka; tak zwanych trudności technicznych nie było, rzecz sprowadza się więc może tylko do wartości odkrywczo-propagandowych, było to przecież pierwsze wejście i w tak mało znanym terenie. Na Rysy od Morskiego Oka (1110 m różnicy wzniesienia) wchodzi się bez wysiłku w cztery godziny. Półtora tysiąca metrów Pissisu powinno się było zatem pokonać gładko w sześć godzin.

A tymczasem wejście na Pissis to była dwu i półdniowa ciężka praca i naprawdę ogromny wysiłek, w który trzeba było włożyć pełne siły zaprawionego do pracy w górach organizmu.

Bo Rysy mają 2500 m wys. nad poziom morza, Nevado Pissis 6780 m.

Prosta sprawa ilości tlenu. Na poziomie morza jest go przeszło połowę więcej niż na poziomie szczytu Pissisu. Określmy jeszcze inaczej: średnie ciśnienie w Krakowie wynosi 750 mm, w Zakopanem 689 mm, w Tres Quebradas 480 mm, na Pissis 340 mm.

Na takich jak Pissis wysokościach każdy krok w górę to wysiłek, każda dodatkowa praca to ciężki, wyczerpu-

jący trud, na wysokościach słabnie odporność na zimno, słabnie odporność fizyczna i duchowa.

Zbędna była w drodze na Pissis gimnastyczna sprawność pokonywania skalnych zamków i nawet liny nie używaliśmy do ubezpieczenia. A jednak wejście na Pissis było poznaniem najwyższego z niezdobytych do 1937 r. przez człowieka szczytów amerykańskich i godnie, jak mi się zdaje, dopełniło zdobywania najwyższych szczytów andyjskich przez Polaków.

Niebawem rozpoczęliśmy schodzenie ze szczytu. Wiatr wiał mocny.

LAGUNA NEGRA

Oto w skrócie relacja z dnia wejścia na Pissis: Rankiem, gdy tylko słońce obudziło namiot, płonący prymus; śniadanie: owomaltyna (ja), herbata (Stefan) i już tylko cztery łyżki owsianki (wylano połowę). Pogoda. O godz. 8,15 odmarsz. Plecy lekkie, idziemy niemal bez obciążenia.

Grań jest szeroka, każdy na własną rękę (rzeknijmy ściślej: nogę) wypracowuje sobie wejście. O godz. 9,15 dociera Stefan do obszernego poziomego tarasu, przypartego, jako najwyższy stopień grani, do Pissisów III i IV, i czeka tu na mnie trzy kwadranse. Pogoda, wiatr, śnieg mniej utrudniają pochód, niż można się było spodziewać.

Na tarasie (wys. ok. 6450 m) rozdzielamy się: Stefan (nie wiem czemu) widzi w Pissisie IV wyższy cypel i skręca ku niemu w prawo przez półwyspy śnieżne, ja pnę się prosto ku Pissisowi III.

O godz. 11,20 osiągam wierzchołek i buduję kopczyk. Szczyt Pissisu III jest co najmniej pięćdziesiąt metrów wyższy od sąsiada, widać od razu. Tymczasem i Stefan rozejrzał się we właściwych proporcjach i z przełęczy pod

Pissisem IV skierował się na Pissis III. W dziesięć minut po mnie stanął też na wierzchołku.

Szczyt Pissisu, na który weszliśmy, to zapewne pradawny wulkan. Składa się bowiem z szeregu kopułek, pomiędzy którymi nieckowate, obszerne zagłębienie mogłoby być bardzo dobrze resztką regularnego krateru. Znowu andyjskie wymiary: odległość Pissisu III od Pissisu IV wynosi ok. 3 km, Pissisu III od Pissisów I i II ok. 7 km w linii powietrznej. A te cztery główne szczyty otoczone są wieńcem szczytów niższych, zaśnieżonych i częściowo zalodzonych. Dodać należy, że bogatszy w firn i lód wydał mi się nie wschodni, lecz dopiero przez nas odkryty północny lodowiec.

W źródłach topograficznych znalazłem później ważne dane na temat wysokości poszczególnych szczytów całego masywu Pissisu. Trzy szczeble dokładności: Penck zna dla masywu tylko jedną kotę: 6780 m; mapa amerykańska podaje już dwie koty: 6780 m i 6770 m, obie opatrując ważnym znakiem △ (pomiar trygonometryczny); wreszcie u Riso Patrona zróżnicowanie jest największe: spotykamy u niego kotę 6770 m dla Pissisów I i II, kotę 6780 m dla zdobytego przez nas Pissisu III, kotę 6730 m dla szczytu zachodniego (Pissis IV, chwilowy cel Osieckiego), wreszcie kotę 5960 m dla drugorzędnego szczytu, zarejestrowanego przez nas jako Pissis V.

Jeszcze jeden szczegół: nazwa Nevado Pissis, nie znana ani mulnikom, ani źródłom argentyńskim (które zresztą, jak już wspomniałem, w ogóle o tej górze nie wiedzą), pochodzi z mapy Riso Patrona i nadana została na cześć chilijskiego badacza Andów z drugiej połowy XIX wieku, Amado Pissisa. Nie muszę dodawać, że ów uczony ani nie próbował zdobyć „swego" szczytu, ani nie dotarł do jego stóp. Trzeba też wspomnieć, iż w jednej z prac San Romana *Estudios i datos practicos sobre la cuestiones internationales de limites entre Chile, Bolivia i Re-*

publica Arjentina, (Santiago 1895, s. 14.) [1] znalazłem notatkę, iż *la potente cumbre cuadrangular de Monte Pissis...*[2] *Francisco P. Moreno llama Pabellon de Laguna Verde.* W najnowszej literaturze cytuje się również dla Pissisu istniejącą jakoby tubylczą nazwę *Nacimiento de Jaguël* (rzeka wypływająca spod masywu ku południowi); także spotykamy czasem nazwę *Nevado de Jagel.*

Złożyliśmy w kopczyku puszkę z podpisami i dokonaliśmy paru obserwacyj topograficznych. A potem był widok, który mógł być nagrodą za największe trudy, widok przestrzeni o fantastycznych rozmiarach, której pustka i martwota dodawały, nawet w południowym słońcu, księżycowej grozy, ogrom nieba, gór, śniegu, dolin, pustyni, wysokości i słońca, a prawdziwie: posępny obraz przyrody pięknej, ale ginącej i starczej.

Szczegóły? Nigdzie ani śladu organicznego życia, nigdzie ani cienia życia. A cóż mi powiedzą nazwy Bonete, Punilla, Violado, symbole z mapy, bezsilne w zagładzie...? Na wschodzie wznosiły się z dna bezśnieżnych, bezimiennych dolin *cerros:* Punilla (5800 m) i Pabellon (5740 m), na północy zapadała w węzły grzbietów Puny dolina Sereroka, na zachodzie graniczne *cerros* łączyły Dos Hermanas z Violado, na południu urwistym śniegiem połyskiwały Sierra del Veladero (6320 m). Widok z Pissisu ma promień 300 km, składają się nań góry Catamarca, góry La Rioja, gniazda Atacama i łańcuchy Famatina, Andy Argentyny i Chile, od pampasów ponad lodowce ku oceanowi. Oto w potężnych spadach można wyznaczyć drogę ku Hali 25 maja, gdzie padła w śnieżycy trupa czternastu nieszczęśników. A oto korona Famatiny, zjawiskowy łańcuch 6200 m, zawieszony w niebie szafiro-

[1] Studia i dane praktyczne o zagadnieniach międzynarodowych granic między Chile, Boliwią i Argentyną.

[2] Potężny kwadratowy szczyt Monte Pissis, nazywa...

wej odległości. I wszędzie dokoła kopuły Nevados, Góry Śnieżne, marzenie w Polsce, a teraz zdobywana rzeczywistość.

I jeszcze raz barwy: biały salar i seledynowe wody, turnie z ciemnego piaskowca, żółte żyły siarki, skały z cynobru, z czerwieni, barwy złota, miedzi i chlorofilu... Tylko prawdziwego chlorofilu jak najmniej w obrazie: skąpe skrawki traw, ukryte w odsłonecznionych wąwozach, mógłbym je policzyć na palcach wśród ogromu tej pustyni gór, wyżyn, parujących gejzerów, skostniałych salarów i jałowych żwirów. Przez chwilę myśl towarzyszy kolegom do Nacimiento; lecz cofa się rychło. Bo oto znów spoza Nacimiento czai się najbliżej nieba Ojos del Salado, szczyt niedostępny dla nas, najwyższy, wypieram świadomość, że wyższy nawet od Nevados Pissis. Lepiej spojrzeć w dół, gdzie w pośrodku obrazu, jak mapa plastyczna, leży przed i pod nami wyżyna żwirów i zapad salarów, serce południowej Puny, basen Laguna Verde. Zielona woda jest z oddali spokojna jak cisza. Łatwiej zapomnieć o Ojos, zbyt dalekim celu, gdy nęcą zagadki wód, na mapach obrysowanych tak niedokładnie i mylnie. Niech nawet powrót z Pissis będzie połączony z poznaniem nowych dróg.

Po półgodzinnym pobycie na szczycie zaczynamy schodzić. Nie spieszymy się. Nie odczuwamy zimna, a muły przybędą po nas dopiero za dwa dni. O godz. 13 dochodzimy do miejsca górnego obozu. Namawiam Stefana do zatrzymania się już tutaj, czyż godzi się spieszyć do schodzenia z nieba?

Drugi nocleg na wys. ok. 6250 m minął o wiele dogodniej niż pierwszy. Namiot był już od wczoraj rozpięty, ubyła zatem najbardziej mozolna praca. I droga ku górze była już poza nami, skończona, mogliśmy o niej nie myśleć.

Nazajutrz powróciliśmy do bazy ok. 5300 m. Takie

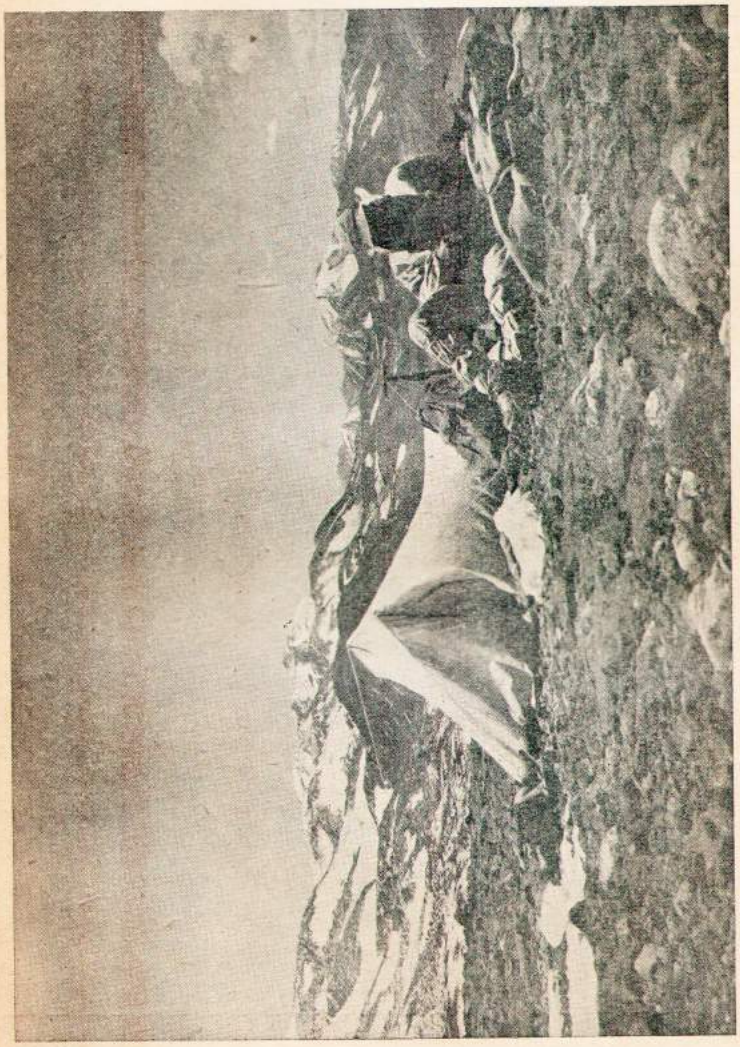

W drodze na Cerro de Nacimiento. Obóz na wysokości ok. 6000 m.
W głębi masyw Ojos del Salado (6880 m), odległość ok. 20 km.
Fot. W. Paryski

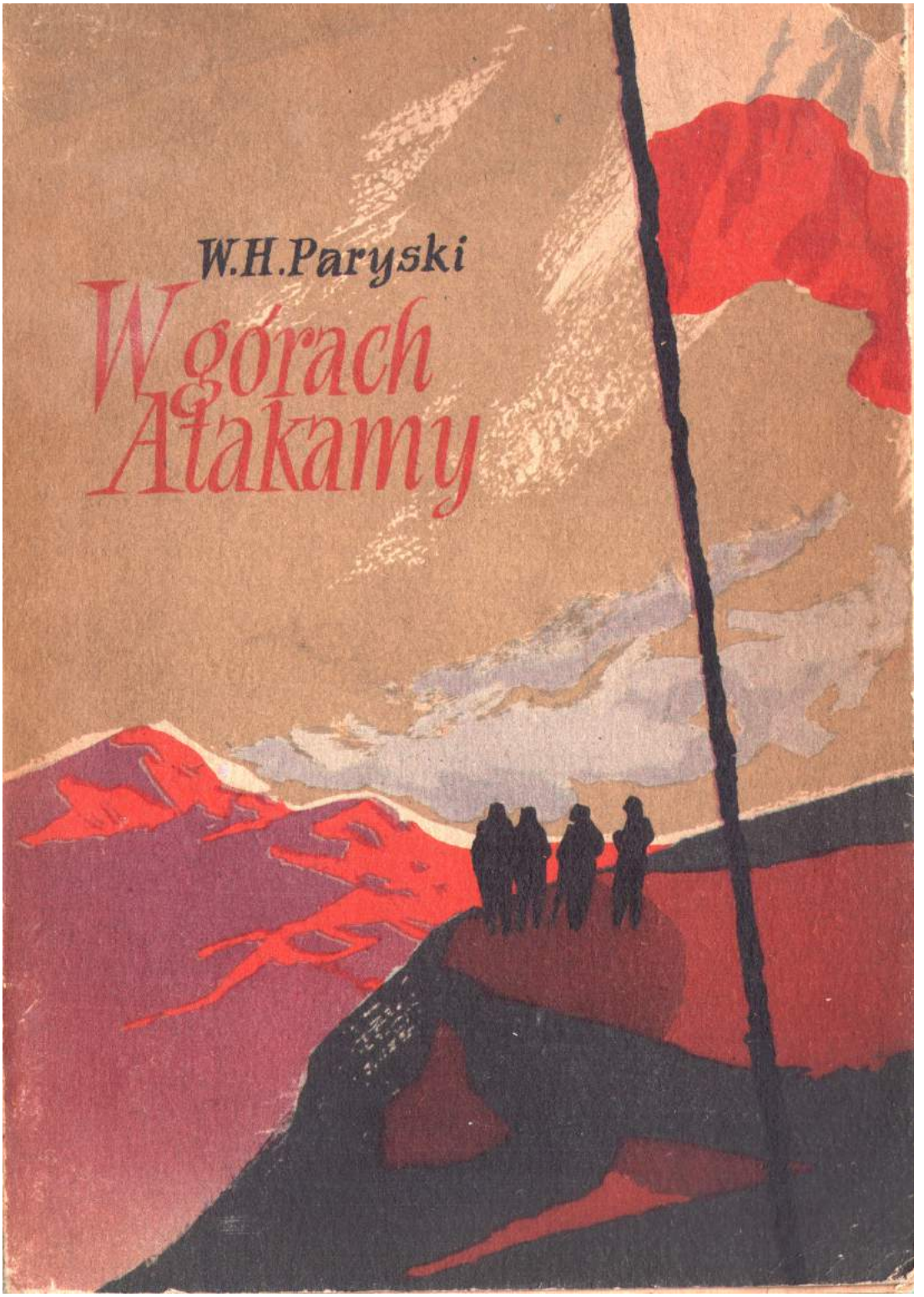
W.H.Paryski
W górach Atakamy

14. GÓRA WISZĄCYCH LODOWCÓW

Nevado Tres Cruces. Zmiana planów. Kłopoty z wodą. Pstrokata góra. Lodowiec pod piaskiem. Wyładowania elektryczne. Samotny biwak. Prawie przegrana. Zwycięstwo. Wygrany wyścig. Niezawodny Sosa. Winogrona

Jednym z głównych celów naszej wyprawy było zdobycie najwyższego szczytu masywu zwanego Nevado Tres Cruces (6630 m), którego nie należy mylić z pobliskim Cerro Tres Cruces (5400 m), znajdującym się na południowy zachód od poprzedniego.

Nevado Tres Cruces (po hiszpańsku *tres cruces* znaczy „trzy krzyże") ma trzy główne szczyty, z których wszystkie wznoszą się ponad 6000 m. Z posiadanych przez nas w czasie wyprawy map wynikało, że szczyt środkowy jest najwyższy, ale już ze zwykłych obserwacji w terenie wiedzieliśmy, że w podanych na mapach wysokościach są omyłki. Wysokość szczytu środkowego i południowego była mniej więcej równa, a nie różniła się, jak wskazywały nasze mapy, o jakieś 300 m. Nie mogliśmy z góry rozstrzygnąć, który z tych dwóch szczytów jest najwyższy w masywie, gdyż nie robiliśmy pomiarów trygonometrycznych, które mogłyby tę sprawę ustalić z odległości.

Nevado Tres Cruces jest niewątpliwie najwspanialszym masywem górskim w zbadanym przez nas obszarze. Najpiękniej przedstawia się od strony południowej i południowo-wschodniej, skąd najlepiej widać jego lodowce.

Pierwotny nasz plan przewidywał, że atak na Nevado Tres Cruces będzie podjęty przez grupę złożoną z wszystkich czterech alpinistów wyprawy, którzy ewentualnie w końcowej fazie podzielą się na dwie ekipy po dwie osoby, aby równocześnie zaatakować oba najwyższe szczyty, gdyż wtedy miałoby się pewność zdobycia rzeczywiście najwyższego szczytu tego masywu.

Przed zaatakowaniem samej góry trzeba było jednak wpierw rozwiązać inny problem: znaleźć dostęp do jej podnóża. Odległość góry od naszego obozu bazowego w Tres Quebradas wynosiła w prostej

linii około 30 km, co oznaczało, że konieczny był przynajmniej jeden pośredni punkt biwakowy z paszą i wodą dla mułów.

Istniały dwie drogi ataku: od wschodu lub od zachodu. W czasie swej ostatniej podróży po baraninę Barrera dowiedział się od starego myśliwego, że prawdopodobnie udałoby się na mułach dość blisko podjechać pod Nevado Tres Cruces od zachodu — z doliny, w której płynie Rio Lamas. Jednakże już do tej rzeki trzeba by jechać dwa dni, a poza tym szlak ataku, wiodąc z zachodu, byłby narażony na pełne działanie najczęstszych tu wiatrów zachodnich, co łatwo mogłoby udaremnić powodzenie wyprawy. Zdecydowaliśmy więc poszukać najpierw dostępu od wschodu, chociaż od tej strony góra, jak to mieliśmy sposobność wcześniej zaobserwować, była bardzo urwista.

Obszar rozciągający się między Tres Quebradas a Nevado Tres Cruces był zupełnie nie znany z wyjątkiem szlaku biegnącego z Portillo i osiągającego — po rozgałęzieniu się — dwie przełęcze: Portezuelo de la Cuesta Colorada (4713 m) oraz Portezuelo de la Agüita (5090 m). Szlak ten nie był, zdaje się, od lat używany, ale znali go niektórzy nasi mulnicy. Nam jednak nie mógł się przydać, gdyż biegł mniej więcej ze wschodu na zachód, a nasza trasa musiałaby prowadzić z południa na północ.

Poza tym mulnicy nie wiedzieli, czy na wymienionym szlaku była pasza dla mułów lub słodka woda, gdyż ową drogą przebywano nasz basen bez biwaku. Był to skrót szlaku z Portillo przez Tres Quebradas. Wstępny rekonesans był więc konieczny. Wyruszyli Justyn i starszy Sosa.

Zabierając z sobą zapas słodkiej wody i drzewa opałowego, pojechali wprost przez góry do górnego biegu głównego strumienia naszego basenu, Rio Salado. Nad brzegami tego niewielkiego tu jeszcze strumyka znaleźli miejsce na pośredni obóz, w bocznej dolinie wiodącej w stronę Portezuelo de la Cuesta Colorada. Woda nadawała się do picia, mimo nieprzyjemnego gorzkawego smaku. Muły ją piły, choć niechętnie, a w okolicy było trochę trawy.

Po spędzeniu tam nocy wjechali na przełęcz między Cerro Solo a południowym szczytem Nevado Tres Cruces, skąd przebyli kawałek płaskowyżem po przeciwnej stronie, po czym zawrócili

i jeszcze tego samego dnia po 14 godzinach jazdy dotarli do Tres Quebradas.

W ten sposób dostęp do wschodniej strony Nevado Tres Cruces był już odkryty, ale w czasie tego rekonesansu Justyn znalazł jeszcze coś więcej: prawdopodobny dostęp do Nevado Ojos del Salado, drugiego z najwyższych szczytów Ameryki. Wypatrzył on, wprawdzie tylko przez lornetkę, sposób dojazdu z pośredniego obozu nad Rio Salado w stronę podnóża Nevado Ojos del Salado.

To odkrycie zmieniało nasze plany. Chcieliśmy zdobyć zarówno Nevado Tres Cruces, jak i Nevado Ojos del Salado, ale lato miało się już ku końcowi. Utrzymywała się wprawdzie wciąż dobra pogoda, każdej chwili jednak mogły nadejść jesienne śnieżyce i uniemożliwić kolejne atakowanie tych dwóch gór. Mieliśmy do wyboru: atakować obie góry równocześnie dwiema grupami po dwie osoby lub też w czwórkę — tylko jedną. Co robić?

Po naradzie zdecydowaliśmy równocześnie zaatakować oba masywy górskie: Nevado Tres Cruces o znanym dostępie, ale o większych prawdopodobnie trudnościach, oraz Nevado Ojos del Salado, do którego stóp może w ogóle nie uda się nam dotrzeć. Czasu na dalsze rekonesanse lub kolejne szturmowanie obu gór już nie było.

Grupa udająca się na Nevado Tres Cruces składała się ze Stefana i ze mnie, na Nevado Ojos del Salado — z Justyna i Janka.

21 lutego wyruszyliśmy z Tres Quebradas, w towarzystwie obu Sosów, zabierając zapas słodkiej wody i drzewa opałowego. Pogoda zaczęła się psuć. Ze wzgórz oddzielających nas od górnego biegu Rio Salado nie mieliśmy widoku, gdyż większość szczytów skryła się w gęstych, ciemnych chmurach. Dął mocny, mroźny wiatr. Obie grupy rozbiły wspólny obóz pośredni w upatrzonym poprzednio miejscu, przy wielkim, samotnym bloku skalnym nad brzegiem Rio Salado.

Wieczorem rozpogodziło się i jasne gwiazdy ukazały się na mroźnym niebie. Zimny wiatr wiał od zachodu, ale nie rozbiliśmy namiotów, gdyż ów blok skalny dawał częściową ochronę.

Gdy skończył się nasz niewielki zapas słodkiej wody, musieliśmy pić miejscową, gorzkawą. W zupie była jeszcze zupełnie znośna, ale herbacie nadawała smak niedobrego lekarstwa.

Następny ranek był pogodny, wiał słaby wiatr. Janek i Justyn wy-

ruszyli na wschód, aby zaatakować Nevado Ojos del Salado. Towarzyszył im młodszy Sosa.

Wkrótce po nich wyruszyliśmy na Nevado Tres Cruces i my ze starszym Sosą. Wzięliśmy jednego muła jucznego, który dźwigał plecaki, mieliśmy też wierzchowce i konia, który służył jako madrino dla naszej małej karawany.

Znad Rio Salado szlak nasz wiódł na północ, ku szerokiej przełęczy między Nevado Tres Cruces a Cerro Solo. Zrazu trafiały się rzadkie kępy trawy i zobaczyliśmy ślady lisa, a potem już nic żywego, żadnej rośliny, żadnego owada. Tylko piasek, żwir i kamienie, a wyżej śnieg i lód. Wiał słaby wietrzyk, ale wielkie przestrzenie piasków pofałdowane na kształt fal i kamienie fantystycznie wyrzeźbione pędzonymi przez wiatr ziarnkami piasku świadczyły o tym, że często hulały tu silne wiatry.

W miarę jak wznosiliśmy się, widok stawał się szerszy, ale Nevado Ojos del Salado już się skrył poza czarne i białe pasmo szczytów, które go oddzielają od Cerro Solo. Najbardziej kolorowy był Cerro Puntiagudo (5940 m), na lewo od nas. Śniegi jego ostrego wierzchołka i długiej grani błyszczały na tle błękitnego nieba, niższe zaś zbocza mieniły się różnymi barwami, były czarne, czerwone, szare, żółte i białe.

Po paru godzinach teren stał się mniej stromy i wkrótce dotarliśmy do małego strumyka płynącego z pola mniszków śniegowych. Nie wiedzieliśmy, jak będzie dalej z wodą, więc napełniliśmy nasze manierki i termosy, przedtem jednak musieliśmy trzymać wodę w kubkach, aż osiądzie unoszący się w niej drobny piasek.

Szlak nasz prowadził teraz wijącym się korytem, półtora metra głębokim, wyżłobionym w szarym piasku. W bokach koryta wyzierał miejscami lód, a na prawo widać było sterczące z piasku jego wielkie bryły. Prawdopodobnie jechaliśmy po powierzchni lodowca lub resztek martwego lodowca, zawianego grubymi pokładami piasku.

Wkrótce potem stanęliśmy na granicy argentyńsko-chilijskiej, na wschodniej z dwóch przełęczy między Cerro Solo a południowym szczytem Nevado Tres Cruces. Nie była to przełęcz typu alpejskiego. Po prostu jadąc w górę osiągnęliśmy brzeg rozległego płaskowyżu,

ciągnącego się na północ i północny wschód. Przecinały go liczne quebrady, zrazu płytkie, dalej bardzo głębokie i wszystkie zbiegające mniej więcej na północny wschód.

Jadąc przez ten lekko opadający płaskowyż ujrzeliśmy niedługo całą wschodnią stronę południowego i środkowego szczytu Nevado Tres Cruces, częściowo skalistą, a częściowo pokrytą lodowcami.

Z dalszej części płaskowyżu ukazał się nam Nevado Ojos del Salado, oczywiście w znacznej odległości. Drugi najwyższy szczyt Ameryki nie wyglądał stąd imponująco i mało było na nim śniegu.

Chcąc się zbliżyć do środkowego szczytu Nevado Tres Cruces, musieliśmy przebyć głęboką quebradę, zagradzającą nam drogę. Stefan pojechał górą szukać przejazdu, a ja z Sosą i resztą mułów spróbowaliśmy wprost przekroczyć przeszkodę.

Zjazd na dno wąwozu, stromymi zygzakami w głębokim piasku, nie był specjalnie trudny, tylko dwukrotnie trzeba było poprawiać popręgi, gdyż ładunek jucznego muła i siodła wierzchowców zjeżdżały im na karki. Dno quebrady wypełniał strumień, którego koryto było wyżłobione w lodzie, a woda niosła piasek i drobne kamienie. Spod piasku na stokach wyzierał w wielu miejscach lód i było rzeczą oczywistą, że cały wąwóz jest wyrzeźbiony w lodowcu, zapewne martwym, na który wiatry nawiały grubą warstwę piasku.

Środkiem tego płytkiego strumienia pojechaliśmy kawałek w dół, aż natrafiliśmy na miejsce, gdzie muły mogły wejść na przeciwległy stok. Było tu bardzo stromo i mogliśmy każdej chwili trafić na lód pod płytkim piaskiem, ale muły stąpały ostrożnie, jakby czuły niebezpieczeństwo. Kilka razy uderzyły kopytem o lód, ale nie pośliznęły się. Dojechaliśmy do stromego koryta, z którego muły ledwie się wygramoliły, ślizgając się na lodzie wyzierającym spod piasku.

Dalej już droga była łatwa. Ze zdradliwych piasków wydostaliśmy się na bezpieczne żwiry, gdzie połączył się z nami Stefan. Wkrótce znaleźliśmy się u podnóża skalistej grani pomiędzy dwoma szczytami i tu Sosa prędko zdjął z mułów nasze siodła i bagaż, aby natychmiast ruszyć w powrotną drogę. Inaczej nie zdążyłby przed nocą nad Rio Salado. Pojechał łatwiejszym szlakiem wyszukanym przez Stefana. Umówiliśmy się, że wróci po nas piątego dnia. Pozostało nam zatem cztery i pół dnia na zdobycie góry.

Namiot rozbiliśmy na wysokości około 5500 m, pod osłoną wielkiego bloku skalnego. Obok płynął mały strumyczek pochodzący z niewielkiego lodowca wiszącego pod południową przełęczą. W nocy woda zamarzała do dna, a w dzień niosła wiele piasku. Z drugiej strony namiotu było duże pole mniszków śniegowych. Roślinności oczywiście ani śladu. Krajobraz barwny kolorami skał, śniegów i nieba, lecz zupełnie martwy.

W nocy spadło trochę śniegu, za to ranek był znowu ładny, choć chłodny i wietrzny. Uwinęliśmy się raz, dwa ze śniadaniem i pakowaniem i szybko ruszyliśmy w drogę.

Ruszyliśmy szybko, ale posuwaliśmy się powoli. Znajdowaliśmy się bądź co bądź na wysokości 5500 m nad poziomem morza. Wysokość zupełnie nie tatrzańska, a waga niesionych ładunków niestety nazbyt tatrzańska, bo przekraczająca po dwadzieścia kilo na osobę. Byliśmy zaopatrzeni we wszystkie rzeczy konieczne — i niektóre niekonieczne — do pięciodniowego przebywania w strefie, gdzie ciśnienie powietrza jest przeszło dwa razy mniejsze niż na brzegu morskim. Ruchomy piarg andyjski też ułatwiał posuwanie się... w dół.

Pięliśmy się teraz ukosem w górę po stromym, usuwającym się piargu w kierunku wielkiego żlebiska, spadającego z przełęczy położonej tuż pod środkowym szczytem. Żlebisko, a raczej spora dolina, było wypełnione w górze lodowcem, którego zaobserwowana dotąd część w zupełności usprawiedliwiała dźwiganie przez nas liny, a nawet haków lodowych.

Po dłuższym czasie dotarliśmy do krawędzi zbocza obrywającego się stromo ku owemu żlebisku. Wyglądało ono stąd, razem ze swoim lodowcem, bardziej zachęcająco, ale ku naszemu zmartwieniu okazało się, że osiągnięcie go byłoby połączone ze stratą co najmniej 100 m wzniesienia.

Wprost nad nami wznosiło się szerokie i wysokie urwisko skalne, wręcz odstraszające. Obejście urwiska na lewo byłoby dalekie i niepewne i też wymagałoby straty wysokości. Aby zdecydować się na stratę cennych stu metrów (i to z ciężkimi plecakami), trzeba było się wpierw dobrze namyślić. Zaczęliśmy się uważniej przyglądać owemu urwisku. Dostrzegliśmy skazę w skalnym pancerzu góry,

skaza była wprawdzie wątpliwa, ale skwapliwie uznaliśmy ją za godną próby i ku niej skierowały się nasze ciężkie kroki.

Podejście do stóp samego urwiska prowadziło spadzistym, piarżystym zboczem — im wyżej, tym bardziej stromo. Miejscami spadek był tak wielki, że piarg nie mógł się utrzymać. Obnażyło się bardzo strome zbocze, utworzone z wypalonej na słońcu, gładkiej gliny. Bez kutych butów i czekana trudno by było to przejść. Wreszcie mogliśmy odpocząć w pozycji siedzącej na wygodnej półce u początku skał. Na prawo i lewo od nas nie było mowy o zaatakowaniu urwiska, ale wprost nad nami istniała możliwość, która nas tu zwabiła. Widzieliśmy co prawda tylko niewielki fragment urwiska, tym chętniej przyjęliśmy to jako dowód, że wyżej jest mniej stromo. Ruszyliśmy w górę.

Początkowo skały były nietrudne, ale niemiłe. Ogromne, luźne bloki trzymały się „na słowo honoru", jednakże pchaliśmy się dalej. Dotarliśmy wnet do litej skały, niemiłosiernie stromej.

Wąska skalna półeczka zapraszała do eksponowanego trawersu pod przewieszkami w prawo. Półeczka, i owszem, była dobra, ale wkrótce przeszła w wąziutki gzyms, który, niestety, urywał się na podciętej krawędzi. Wydało nam się możliwe wspiąć się w górę przy samej krawędzi.

Zabraliśmy się więc do tego, czego szuka się w Tatrach, a unika na wysokości sześciu tysięcy metrów — do prawdziwej skalnej wspinaczki. Złożyliśmy plecaki na półeczce, związali się liną i Stefan ruszył bez plecaka pierwszy. Skała była wprawdzie bardzo stroma, zrazu nawet pionowa, lecz korzystnie uwarstwiona i wolna od lodu. Stefan wyciągnął blisko 30 m liny, nim przyszła kolej na mnie.

W Tatrach nazwałbym tę wspinaczkę dość trudną, tu jednak trzeba było do tego dodać parę tysięcy metrów wzniesienia i dwadzieścia kilo na plecach. Każdy więc lepszy stopieniek usprawiedliwiał przystanek dla złapania tchu. Ale wszystko, co złe, ma swój koniec: skończyła się pionowa ścianka, gładka płyta i coś tam jeszcze i wgramoliłem się wreszcie na wygodną, piarżystą platformę ukrytą wśród ponurych skał, skąd asekurował mnie Stefan.

Tak więc dobrnęliśmy do owej platformy, bez jednego plecaka spoczywającego nadal na półeczce skalnej. O wyciągnięciu go na

linie nie było mowy; dostał się na platformę, wywindowany na plecach Stefana, który po niego zeszedł.

Nad nami skały znowu spiętrzały się na odległość naszej długiej liny. Powtórzyła się więc podobna wspinaczka z tą różnicą, że pionową ściankę i gładką płytę zastąpiła stroma rysa i eksponowany trawers pod odpychającym blokiem. Tym razem ja, idąc jako pierwszy, przeszedłem ten odcinek trzy razy, w tym raz z plecakiem. Dalej ciągnął się w górę łatwiejszy teren, więc zwinąłem linę. Nim skończyłem, już padał śnieg. Pokonaliśmy trudności skał w samą porę.

Nad nami na lewo groźnie zwieszało się olbrzymie urwisko, ale wprost w górę ciągnęła się droga (oczywiście w znaczeniu alpinistycznym) utworzona z nietrudnych skałek, stromych piargów i płatów śniegu. Skałki były kruche i miejscami oblodzone, piarg oczywiście usuwał się spod nóg, śnieg był miejscami po pas, do grani jeszcze daleko, a plecak wydawał się coraz cięższy, ale ostatecznie stanowiło to już tylko kwestię cierpliwości i wytrwałości. Gdy znudziło mi się kopanie butem stopni w uciekającym piargu, pakowałem się w usypujące się skałki, a z nich w zapadający się śnieg — i tak w kółko. Rozmaitość była.

Śnieg wkrótce przestał padać, ale późno po południu, gdy wreszcie osiągnęliśmy grań, rozpadał się na dobre, przywitał nas też codzienny zachodni wicher, o swej zwykłej lodowatej mocy. Widoczność sięgała zaledwie kilkudziesięciu metrów.

Grań, jak to bywa w Andach, nie była granią w ścisłym znaczeniu, lecz szerokim grzbietem, dźwigającym na sobie równinki, kotlinki i górki. Byliśmy teraz na wysokości około 6100 m, czyli mniej więcej 100 m wyżej niż przełęcz przytykająca bezpośrednio do masywu środkowego szczytu Nevado Tres Cruces, teraz zatem będziemy musieli stracić te 100 m, które zaoszczędziliśmy sobie rano.

Chcąc się obniżyć ku przełęczy, musieliśmy przekroczyć niską grańkę. Zbliżając się do niej — szedłem wtedy kilkadziesiąt metrów za Stefanem — poczułem nagle w dwóch punktach nad czołem ostre kłucia. Zorientowałem się od razu, że są to wyładowania elektryczne, skupiające się w miejscach, gdzie miałem przymocowane na kapeluszu zapasowe okulary śniegowe w metalowej oprawie.

Im bliżej grańki, tym gorzej, grańkę jednak trzeba było przekroczyć, więc ostatnie kilkanaście metrów przebyłem prawie biegiem, zapominając o zmęczeniu i wysokości. Po drugiej stronie szybko zbiegłem w dół po piargu, ale kłucie w głowę było jeszcze gorsze. Okulary tkwiły przymocowane do kapelusza agrafkami, a kapelusza zdjąć nie chciałem z powodu zimnego wichru ze śnieżycą. Tarłem więc głowę i uciekałem w dół. Dopiero kilkadziesiąt metrów niżej kłucie ustąpiło, lecz za to poczułem silny ból głowy za uszami, który trwał przeszło godzinę.

Cały czas miałem w ręce czekan, wszystkie wyładowania elektryczne skupiły się jednak na mej głowie. Stefan, który przeszedł grańkę wcześniej, poczuł te wyładowania znacznie słabiej.

Przeszedłszy pas rozsypujących się skałek, podwójnie nieprzyjemnych z powodu grubej warstwy świeżego śniegu, zniżyliśmy się szybko ku naszej przełęczy. Nieco powyżej i w bok od niej znaleźliśmy wśród wielkich bloków skalnych kamieniste, ale zasłonięte miejsce na namiot. Po jakiejś godzinie leżeliśmy już w ciepłych śpiworach, popijając smakowite mleko. Na zewnątrz wciąż walił śnieg i dmuchał wiatr, lecz w dobrym namiocie Akar Ramada nie obchodziło nas to nic aż do rana.

Ranek był śliczny, a wietrzyk znikomy. Przed nami, na tle mroźnego błękitu, wznosił się środkowy szczyt Nevado Tres Cruces — ścięta piramida pokryta świeżym śniegiem.

Ruszyliśmy bez wielkiego obciążenia, bo na noc mieliśmy wrócić do obozowiska, gdzie stał namiot. Wielki i ciężki aneroid mogliśmy zostawić w namiocie, bo wczorajsza wspinaczka nie wyszła mu „na zdrowie" i wykazywał teraz dziwaczne wysokości, bardziej fantastyczne niż na mapach amerykańskich. Klisz nie potłukłem, więc dźwigałem je wraz z aparatem dalej.

W kilka chwil osiągnęliśmy śnieżną równinkę na przełęczy. Z niej ku wierzchołkowi prowadził stromy lodowiec. Interesowała nas przede wszystkim jego wierzchnia warstwa, od której zależało, czy trzeba będzie kopać stopnie, czy nie. Po bokach lodowca występowały spod śniegu skałki.

Zrazu nachylenie nie było wielkie, ale wkrótce lodowiec stał się bardziej stromy i coraz częściej zacząłem przystawać, choć na chwil-

kę, niby żeby spojrzeć na krajobraz, a w rzeczywistości, by złapać oddech. Widok był zresztą wspaniały, ukazał się między innymi świeżo ośnieżony Nevado Ojos del Salado, na którego stokach męczyli się gdzieś w tej chwili nasi koledzy.

Na dłuższym postoju porobiliśmy trochę zdjęć i ruszyliśmy dalej, teraz już bardzo stromo. Stefan, który miał lepszy „gaz", prowadził zakosami. Nachylenie było zmienne, miejscami tak znaczne, że robiło się chwyty w zmarzniętym śniegu. Śnieg był na tyle korzystny, że nie trzeba było rąbać stopni czekanem; wystarczyło kilka uderzeń buta. Stefan parę razy zapadał się w małe szczeliny zakryte świeżym śniegiem, ale nigdy głębiej jak po piersi, więc nie wiązaliśmy się liną.

Zrazu prażyło słońce, lecz potem przyszedł wiatr i przygnał chmury. W jakieś trzy godziny po naszym wyjściu z obozu cały dalszy krajobraz zniknął w chmurach i jedynie chwilami ukazywał się południowy szczyt Nevado Tres Cruces. Im wyżej, tym głębsza stawała się warstwa świeżego śniegu, zwłaszcza na miejscach mniej stromych. Widoczność się pogarszała, ale było jeszcze widać na jakieś sto metrów.

Po przebrnięciu głębokiego po pas śniegu, na mało stromej części lodowca, dotarliśmy na lewo odeń do grupy skałek. Wicher wzmógł się, śnieg walił, a mgła stawała się coraz gęstsza. Przed wichrem chronił nas specjalny wielowarstwowy strój, śnieg można było z siebie strząsać, a dalszą drogę ku wierzchołkowi mieliśmy już poprzednio wypatrzoną, więc i mgła nie mogła nam bardzo przeszkodzić. Byłem nawet zadowolony, że dzięki niej mogłem z czystym sumieniem zostawić na skałkach mój dość ciężki aparat fotograficzny i klisze.

Była już dość późna godzina. Obliczaliśmy, że jeśli nie napotkamy na szczególne trudności, mamy przed sobą jeszcze jakieś dwie lub nawet trzy godziny drogi. Poza tym ja już byłem porządnie zmęczony, mimo że cały czas torował drogę Stefan.

Pewien alpinista powiedział kiedyś, że trzeba być optymistą, aby móc zdobywać szczyty Himalajów. Jest to słuszne również i w Andach. Optymistycznie więc zostawiliśmy na skałkach to wszystko z naszego niewielkiego obciążenia, bez czego mogliśmy się obejść,

i postanowiliśmy iść dalej w górę. Nadto z powodu mojego zmęczenia ustaliliśmy, że Stefan będzie szedł nie oglądając się na mnie, ja zaś podążę za nim w miarę możności lub będę oczekiwać na jego powrót. Dla sukcesu wyprawy nie było przecież ważne, który lub ilu jej członków stanie na wierzchołku.

Stefan ruszył i zniknął od razu w gęstniejącej mgle, a ja przykucnąłem pod osłoną skałek i rozmyślałem, jakby to było przyjemnie leżeć w ciepłym namiocie popijając herbatę albo w Tres Quebradas zajadać żeberka baranie, pieczone na węglach. Jednakże po kwadransie przyszło mi na myśl, że muszę przynajmniej wspiąć się trochę wyżej, by spotkać Stefana w jego drodze powrotnej, mgła przecież gęsta, a padający śnieg i wicher szybko zacierają ślady. A zresztą odpoczynek zrobił swoje i może uda mi się osiągnąć wierzchołek. Poszedłem.

Dosłownie wsadziłem nos w zanikające ślady Stefana i brnąłem przez głęboki śnieg w górę. Wkrótce zrobiło się bardzo stromo, ale śnieg był płytszy, przez co szło się łatwiej. Ślady znikły, gdyż widocznie zboczyłem ze szlaku Stefana i trafiłem na twardy, zlodowaciały śnieg, tworzący stromy próg, w którym czekanem musiałem wydziobywać chwyty. Potem znowu głęboki śnieg i wywiany balkon śnieżny pod pasem skałek.

Zaledwie na kilkanaście metrów można było coś dostrzec, ale wiedziałem z porannych obserwacji, że ten pas skałek trzeba obejść na lewo. Za kwadrans byłem już nad skałkami, wicher był tu już tylko wiatrem, mgła zrzedła, a śnieg zaledwie prószył. Jeszcze kwadrans drogi wielkim łukiem po zlodowaciałym śniegu i ściskałem rękę Stefana na wierzchołku tak niespodziewanie bliskim. Tworzyła go wąska, prawie pozioma grań kilkudziesięciometrowej długości, resztki krawędzi dawnego krateru wulkanu.

Podczas pogody widok z wierzchołka jest niewątpliwie wspaniały i rozległy. My, przez dziurę w chmurach, ujrzeliśmy przez chwilę, gdzieś daleko pod nami, północny szczyt Nevado Tres Cruces. Przez chwilę wynurzyła się również cała kopuła południowego szczytu, który wbrew naszym oczekiwaniom i mapom komisji granicznych wznosił się nieznacznie, ale zupełnie wyraźnie wyżej od nas. Może to złudzenie, jakaś fatamorgana, ale bądź co bądź widok ten poda-

wał w wątpliwość znaczenie kopczyka wzniesionego przez nas na środkowym szczycie.

Zejście z wierzchołka, jak to często bywa, było wyścigiem z nadchodzącą nocą. Wygraliśmy go, ale ledwie, ledwie. Na przełęczy o zmroku Stefan zapadł się po pas do zakrytej śniegiem szczeliny, co jest nieprzyjemne, gdy się jest zmęczonym. Pomogłem mu się wygramolić.

Krótkie podejście do naszego namiotu wymagało dużego wysiłku. Jeszcze raz okazało się, że na wielkich wysokościach obozy powinny być tak umieszczone, aby wracający do nich z góry alpiniści nie musieli pod koniec podchodzić w górę, gdyż nawet niewielkie podejście może przekraczać możliwości zmęczonych ludzi. W Himalajach (np. na Nanga Parbat) bywało to nawet przyczyną śmierci alpinistów, którzy wracając z góry ginęli w niewielkiej odległości od zbawczych namiotów.

Nasza droga na wierzchołek trwała prawie 7 godzin, a zejście — półtorej godziny. Jest to normalny stosunek czasu wejścia do zejścia na tych wysokościach, gdzie tak wielką rolę odgrywa zmniejszona zawartość tlenu w powietrzu.

Następny ranek był znowu pogodny i mogliśmy wysuszyć na słońcu przemoczone ubranie. Zwinąwszy bez pośpiechu obóz powędrowaliśmy powoli szerokim grzbietem grani na przełęcz (około 6000 m nad poziomem morza) bezpośrednio pod południowym szczytem Nevado Tres Cruces, skąd spodziewaliśmy się znaleźć łatwiejsze zejście do miejsca dojazdu mułów. Zobaczywszy z góry, że rzeczywiście zejście będzie nietrudne, rozdzieliliśmy się.

Postanowiliśmy bowiem, że należy jeszcze spróbować zdobyć południowy szczyt. To że wczoraj wydał nam się wyższy, wprawdzie nie było dostatecznym dowodem jego największej wysokości w masywie Nevado Tres Cruces, ale warto było nań wejść dla niego samego i dla pewności, że zdobyliśmy najwyższy szczyt w tej grupie.

Stefan był zmęczony wczorajszą wyprawą, gdyż cały czas prowadził i wykopywał stopnie, postanowiliśmy więc, że zejdzie do obozowiska na wysokości 5500 m, dokąd miały przybyć po nas muły, i zajmie się fotografowaniem okolicy. Ja zaś zanocuję sam na przełęczy i nazajutrz spróbuję wejścia na południowy szczyt.

Czułem się coraz lepiej i widocznie dopiero teraz dochodziłem do dobrego stanu aklimatyzacji.

Od tej strony na południowym szczycie było mało śniegu. W tych okolicach większe ilości śniegu i lodowce znajdują się najczęściej na mniej nasłonecznionych stokach południowych oraz na wschodnich, gdzie przerzucają znaczną część śniegu panujące tu wiatry zachodnie. Toteż południowy szczyt Nevado Tres Cruces miał duże i strome lodowce na swych południowych i wschodnich stokach.

Drogę od północy ku wierzchołkowi zagradzało parę pasów stromych skał, dość groźnie wyglądających. Jednakże można było przypuszczać, że znajdą się łatwiejsze przejścia, że droga nadaje się do samotnej próby. Zresztą nie było innego wyjścia z sytuacji, jeśli szczyt miał zostać zdobyty.

Stefan pomógł mi jeszcze ustawić namiot nieco poniżej przełęczy po stronie wschodniej, po czym szybko poszedł na swój samotny nocleg leżący o kilkaset metrów niżej. Nie spiesząc się ugotowałem sobie jedzenie i poszedłem spać o jakiejś piątej czy szóstej po południu.

Było jeszcze ciemno, gdy obudziłem się i postanowiłem zbierać się do drogi. Wysunąłem głowę i ramiona ze śpiwora, ale tak było zimno w oszronionym od środka namiocie, że czym prędzej po zapaleniu kilku kawałków Mety i grubej świecy schowałem się z powrotem do ciepłego śpiwora. W małym namiociku o podwójnych ściankach taki system ogrzewania jest skuteczny i wkrótce mogłem zająć się przyrządzaniem śniadania topiąc wodę z przygotowanego wczoraj lodu.

Był już pełny dzień i słońce przygrzewało, gdy byłem gotów do drogi. Pogoda była wspaniała, ale przypuszczałem, że swoim codziennym ostatnio zwyczajem, zepsuje się znowu koło południa. Pozostawiłem rozstawiony namiot, gdyż miałem tu spędzić także następną noc.

Dążąc ukosem w górę trochę po płatach głębokiego śniegu i wielkich blokach skalnych, ale głównie po okropnym piargu, wymagającym cierpliwego kopania butem usuwających się stopni, dotarłem na wschodnie żebro południowego szczytu Nevado Tres Cruces. Z bliska było to w rzeczywistości kilka równoległych żeber skal-

nych, poprzerywanych kawałkami piarżystych i śnieżnych zboczy oraz pasami biegnących w poprzek skał. Wszędzie tu skały były niezmiernie kruche i pogruchotane.

Lawirowałem stromo w górę owymi żebrami i żlebami między nimi, nigdy nie widząc daleko przed sobą dalszej drogi. Po wielu godzinach uciążliwego i bezustannego trudu, gdyż szedłem bardzo powoli, ale prawie bez przystanku, minąłem niezbyt trudną wspinaczką dwa pasy skał i poczułem, że wierzchołek nie może już być daleko. Pogoda jednak popsuła się już dawno i nie mogłem się zorientować według okolicznych szczytów, które przeważnie od dawna tkwiły w chmurach, co do osiągniętej przeze mnie wysokości.

Nagle gwałtowne podmuchy wichury zmusiły mnie do schronienia głowy pod plecak, by móc złapać dech w atmosferze, która nie zawierała już ani połowy normalnej ilości tlenu. Pędzone wiatrem tumany mgły i śniegu zakryły cały wysokogórski, pustynny świat Atakamy. Przykucnąwszy pod osłoną niskiej skałki, zwątpiłem w możliwość zdobycia wierzchołka.

A więc najwyższy szczyt Nevado Tres Cruces pozostanie nie zdobyty przez polską wyprawę? Jeśli nie zawrócę zaraz, nie wiadomo, czy uda mi się odwrót do samotnego namiociku znajdującego się na wysokości 6000 m, a stamtąd następnego dnia dalej w dół.

Stary mulnik Sosa — zawsze niezawodny — zjawi się jutro z mułami w dolnym obozie, gdzie czeka Stefan, aby nas zabrać do odległej bazy; musi zdążyć przed nocą z powrotem przez zdradliwe szczeliny przysypanego piaskiem lodowca i pustynne żwiry do jedynego miejsca, gdzie przed dalszą drogą muły mogą się popaść i napić wody. Wygłodzone na pustynnej trawce i chorujące od gorzkiej wody muły nieprędko byłyby zdolne do powtórzenia tego kilkunastogodzinnego raidu.

A pogoda? Czy jej zepsucie się to nie jest zapowiedź zimy lub dłuższego okresu śnieżyc, uniemożliwiających nawiązanie łączności przez wysoką przełęcz, oddzielającą Stefana i mnie od obozowiska nad Rio Salado? Żywności i paliwa mamy wspólnie jeszcze tylko na dzień lub dwa...

Takie niewesołe myśli chodziły mi po głowie.

Znowu raptownie nastąpiła zmiana pogody. Uciekły ostatnie strzę-

py mgły, śnieg przestał padać, a wiatr zamienił się w lekkie podmuchy. A więc odwrót powinien się udać, byle prędko!

A nie zdobyty szczyt? Musi pozostać nie zdobyty, bo drugiego ataku nie będzie można już podjąć przed zejściem z gór i powrotem do Polski.

Otrzepując z siebie śnieg i rozcierając zmarznięte ręce zastanowiłem się jeszcze, czy mogę wziąć na swoją odpowiedzialność decyzję odwrotu bez osiągnięcia celu? Czy cel jest naprawdę nieosiągalny, chociaż kontynuowanie ataku zmniejszy ogromnie moje szanse powrotu na noc do namiotu? Przecież polscy alpiniści biwakowali już na takich wysokościach bez namiotu, gdy przed paroma laty przez Lodowiec Polaków zdobywali nową drogą najwyższy szczyt Ameryki — Aconcagua.

Nie miałem z kim się naradzić. Stefan u stóp góry o dwa etapy niżej, Janek i Justyn w tej chwili atakują Nevado Ojos del Salado, który się właśnie wyłonił z chmur na widnokręgu. Krótka chwila namysłu i decyzja — ruszyłem dalej w górę.

O pośpiechu nie było mowy. Zmęczenie i rzadkie powietrze na to nie pozwalały. Wlokąc się w górę miarowym krokiem, stanąłem wreszcie na wschodnim, najniższym końcu grani szczytowej. Słońce już się przedzierało przez wyrwy w chmurach. Grań szczytowa, długości przeszło stu metrów, pozostałość po dawnym kraterze zamarłego wulkanu, ciągnęła się przede mną łukiem, a w jej środku wznosiła się dziesięciometrowa ciemna turnia — szczyt szczytu.

Wkrótce potem zapadające ku Pacyfikowi słońce oświetliło polskiego alpinistę, wygrzebującego spod świeżego śniegu chwyty na potrzaskanej przez pioruny turni, stanowiącej najwyższy czubek południowego wierzchołka Nevado Tres Cruces. Za kilka chwil w pęknięciu skalnym na najwyższym czubku tkwiła blaszana puszka z kartką papieru:

„II Polska Wyprawa Andyjska. Comisión Andina Polaca.
26. II. 1937".

Jedną z nagród za poniesiony trud był widok środkowego szczytu Nevado Tres Cruces; wyglądał wyraźnie na niższy. Jakby zawstydzony, prędko zasłonił się ciemnymi chmurami. Reszta widoku z grani szczytowej była fragmentaryczna. Chwilami wyłaniał się

z chmur Cerro de los Patos i jakże stąd niski Cerro Solo, a na południu błyszczał w słońcu wielki biały Salar de Tres Quebradas. Tam pewnie cały dzień była pogoda.

Zwiedziłem jeszcze zachodni koniec grani szczytowej, niewiele niższy od jej turni środkowej. Od południa podchodziło prawie do krawędzi grani szczytowej wielkie pole firnowe*, dające początek lodowcowi spadającemu na południe.

Zejście ze szczytu było znowu wyścigiem z nadbiegającą nocą. Ledwie go wygrałem, wczołgując się do namiotu już o głębokim zmroku.

Nazajutrz spakowałem namiot do plecaka i pięknym rankiem śpiesznie zszedłem w dół, koło niewielkiego wiszącego lodowca, do obozowiska, gdzie oczekiwał mnie Stefan.

Już od poprzedniego dnia byłem głodny jak wilk, co też świadczyło o osiągnięciu przeze mnie dobrej aklimatyzacji. Rzuciłem się więc na przygotowany przez Stefana posiłek: już nie żadne owsianki, buliony czy biszkopty, ale konserwy — kiełbaski, fasolka, brzoskwinie i oczywiście herbata, nareszcie w dowolnej ilości, gdyż wody nie trzeba było topić z lodu lub śniegu.

Odpoczynek w słońcu na nagrzanym piasku został przerwany przybyciem niezawodnego Sosy z mułami. Sześćdziesięcioletni vaqueano po swej już siedmiogodzinnej podróży tylko coś przegryzł naprędce, po czym natychmiast ruszyliśmy tą samą drogą z powrotem do biwaku nad Rio Salado, którego życiodajne, ale jakże gorzkie wody osiągnęliśmy dopiero po ciemku, kierowani z dala migotliwym ogniskiem młodszego Sosy.

Do Tres Quebradas wróciłem ze Stefanem na drugi dzień. Starszy Sosa został ze swym bratem nad Rio Salado, żeby mu pomóc w pilnowaniu mułów, które chciały uciekać od gorzkiej wody i złej trawy. Następnego dnia Juan Sosa miał pojechać po Janka i Justyna pod Nevado Ojos del Salado. Czy też im się poszczęściło?

W obozie bazowym w Tres Quebradas, dokąd dotarłem ze Stefa-

* Firn — śnieg zmieniony przez wielokrotnie powtarzające się częściowe topnienie i zamarzanie w ziarnistą masę pośrednią między zwykłym śniegiem a lodem. Z pól firnowych powstają lodowce.

TYMCZASEM UROSŁY NAM BRODY. Członkowie wyprawy w Tres Quebradas. Od lewej: Wojsznis, Osiecki, Paryski, Szczepański.

W EL PUESTO GOŚCIŁ NAS DON JUAN GONZALEZ (w środku). W podwórzu jego domostwa, zbudowanego z *adobe* (cegły ulepionej z mokrej ziemi i słomy i wysuszonej na słońcu).

Nevado Ojos del Salado w 2018 roku

Chyba jedynym, który faktycznie zauważył i swymi działaniami uczcił to wydarzenie sprzed 80 lat, był Stanisław Pisarek (WEGA t. VI, s. 607). Już w 2017 roku, a więc w 80 rocznicę, zorganizował małą (czteroosobową: Aneta Nytko, Marek Derewiecki; Kazimierz Kocjan) partnerską wyprawę, która śladami tej sprzed 80 lat próbowała wejść na Nevado Ojos del Salado. Niespotykanie wielkie opady śniegu udaremniły to przedsięwzięcie. Niezrażony tym organizator, w tym roku ponowił próbę i tym razem odniósł pełny sukces.

Obie wyprawy odbyły się dla uczczenia II Polskiej Wyprawy Andyjskiej z 1937 roku w ramach turystycznego projektu powtarzania przedwojennych wyjazdów Polaków – „W 80 lat dookoła przygody". W tej w 2018 roku oprócz Stanisława Pisarka wzięli udział Marek Derewiecki, Kazimierz Kocjan, Krzysztof Michalik, Janusz Mikołajczyk i Bohdan Zwoliński. Przez Wenecję i Santiago de Chile dotarli do Copiapo, gdzie wypożyczyli auto 4 x 4 i nim przemieszczali się już do końca wyjazdu.

W trakcie aklimatyzacji wszyscy uczestnicy 20.01.2018 weszli na Nevado San Francisco (6020 m) i na Cerro Barrancas Blancas (6119 m) – obydwa szczyty opisane są w t. IV WEGA odpowiednio na str. 657 i 134. 26.01.2018 Stanisław Pisarek i Marek Derewiecki osiągnęli główny cel wyprawy – Nevado Ojos del Salado. Przy okazji ustanowiono chyba rekord Polski w wysokości wjazdu samochodem – 5930 m. Później nie podjęto próby wejścia na Monte de Pissis, ponieważ niby pewne ubezpieczenie wynajętego samochodu okazało się za mało pewne dla argentyńskiej straży granicznej (na Ojos najwygodniej z Chile, a na Pissis z Argentyny), przez co wyprawie nie udało się dojechać do Fiambali w Argentynie.

Stanisław Pisarek

Marek Derewiecki

Janusz Mikołajczyk

Bogdan Zwoliński

Krzysztof Michalik

W tej sytuacji część ekipy chciała zmierzyć się z Tres Cruses, ale zgodnie z demokratyczną decyzją ostatecznie pojechali nad ocean oglądać pingwiny Humboldta. Poniżej parę migawek fotograficznych autorstwa M. Derewickiego, S. Pisarka i B. Zwolińskiego:

Jan Kiełkowski

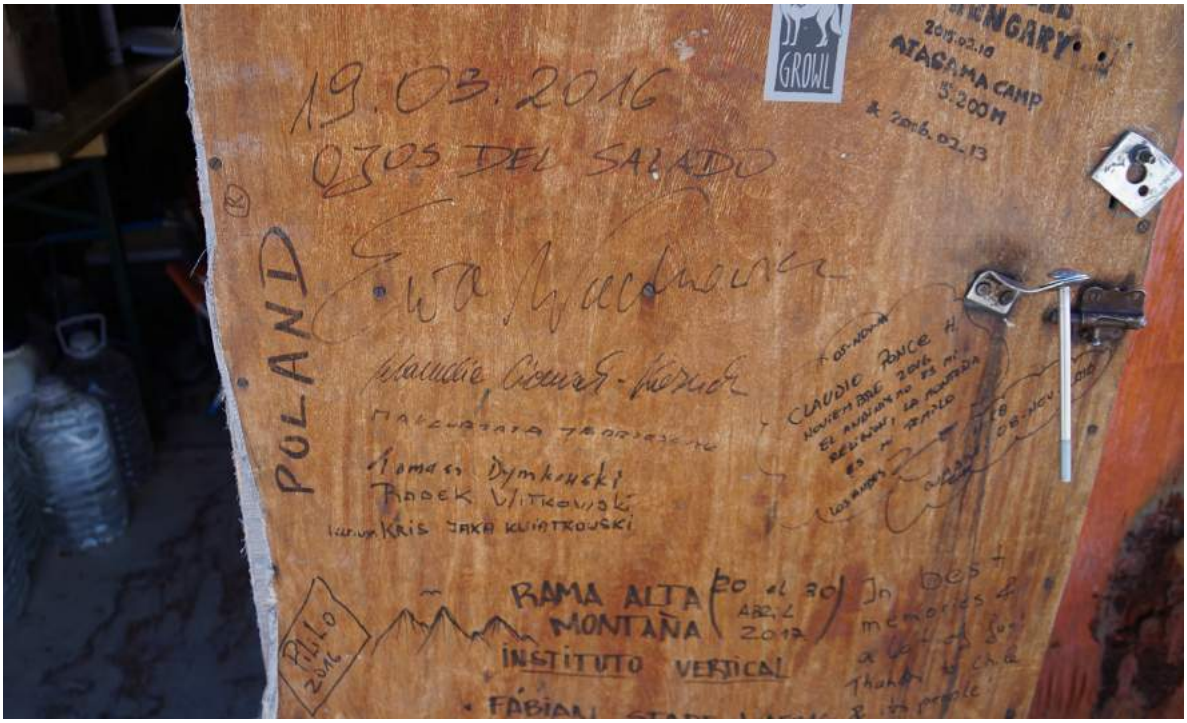
19.03.2016
OJOS DEL SALADO
POLAND
GROWL
ATACAMA CAMP
5.200M
Tomasz Dymkowski
Radek Witkowski
Kris Jaka Kwiatkowski
RAMA ALTA MONTAÑA
INSTITUTO VERTICAL

VN. SAN FRANCISCO

63 rocznica pierwszego przejścia *Wariantu R* na Mnichu, uzupełnienie

?.przejście: 10.1966 Janusz Majer, Robert Niklas.
?.przejście: lato 1967 lub1968 Jan Bagsik, Krystian Krzykała.
?.przejście (3. p. samotnie): 24.09.1975 Grzegorz Chwoła.

Oto oryginalny list i wspomnienie samotnego przejścia Grzegorza Chwoły

W 1975 roku (43 lata temu, niech szlag trafi!) 24 września przeszedłem samotnie Wariant R. W tamtym roku miałem w planach samotne przejście drogi na Kazalnicy, takiej której jeszcze nie robiłem, ale postanowiłem wcześniej sprawdzić swoje umiejętności. Padło na „era". Nie pamiętam za dużo – Alojz A działa. Pamiętam jednak strach, kiedy po przejściu okapu, zszedłem – zjechałem w dół do stanowiska i trzeba było uwolnić się od stanowiskowego haka. Poszybowałem w luft, kręcąc się jak na karuzeli, a lina, na której wisiałem, głośno tarła o okap. Jeśli to potrwa dłużej, lina się przetrze, pofrunę w dół – pomyślałem. Nie pamiętam już, czy na prusikach, czy na małpach Kazia Mordercy lazłem w górę szybko jak nigdy wcześniej. Udało się, przelazłem okap..... i muszę się, nie wiadomo jak długo jeszcze, męczyć.

W 1966 roku poprowadzona została *Direttissima* Eigeru

W marcu 1966 roku duży zespół doświadczonych alpinistów zjednoczył się w celu dokonania przejścia *direttissimy* północnej ściany Eigeru. Wśrod nich byli Chris Bonington, Karl Golikow, Peter Haag, John Harlin (II), Dougal Haston, Siegfried Hupfauer, Layton Kor, Jörg Lehne, Rolf Rosenzopf, Günter Schnaidt, Günther Strobel, Roland Votteler.

22 marca podczas podchodzenia po poręczówkach zginął John Harlin.

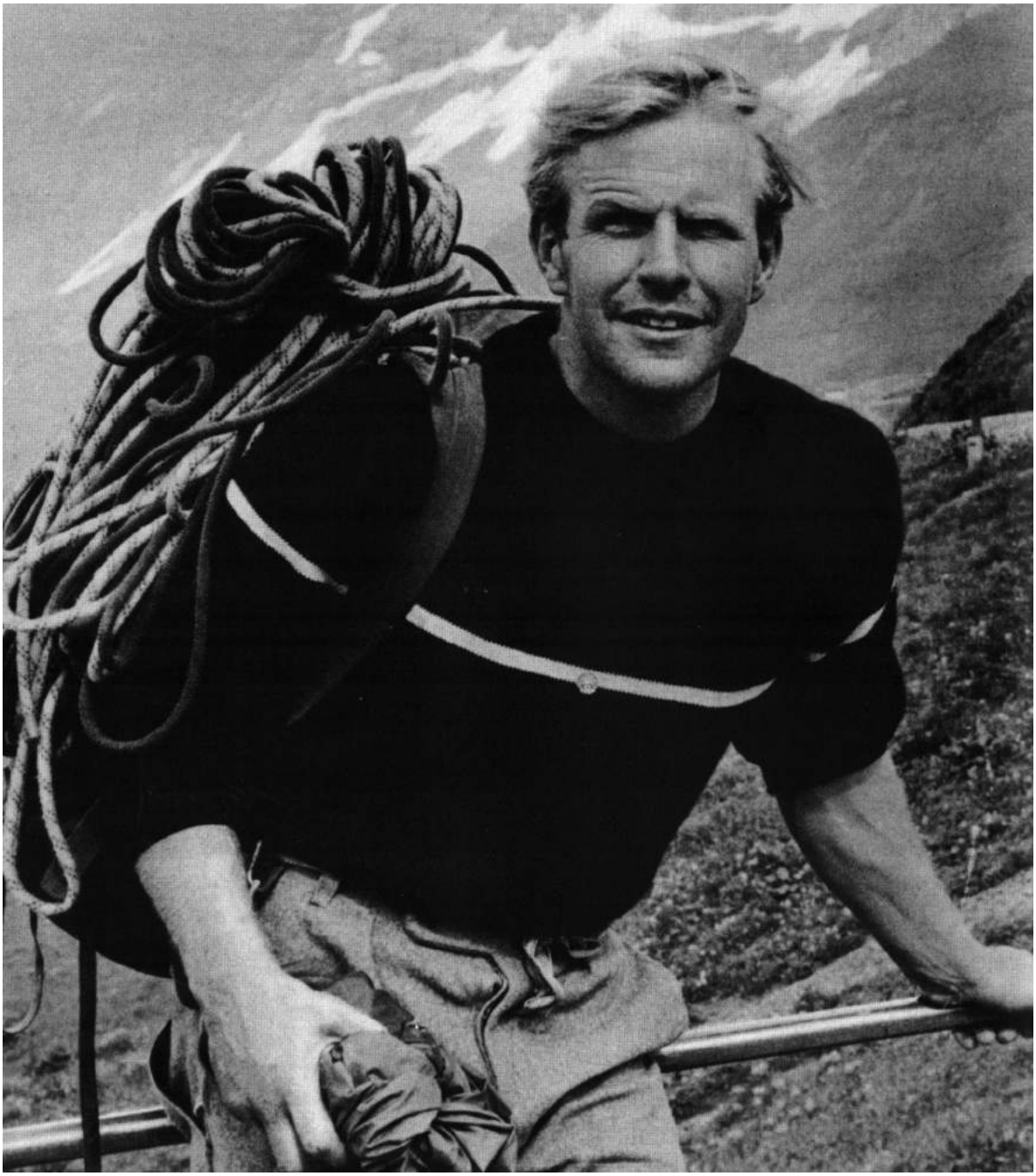

25 marca na szczycie Eigeru stanęli (w strasznej wichurze): Jörg Lehne i Günther Strobel oraz Dougal Haston, Siegfried Hupfauer i Roland Votteler – wszyscy oprócz Vottelera mają biogramy w t. VI WEGA odpowiednio na str. 451, 740, 320, 350.

Swoją drogę zdobywcy nazwali *Direttissimą* Johna Harlina.

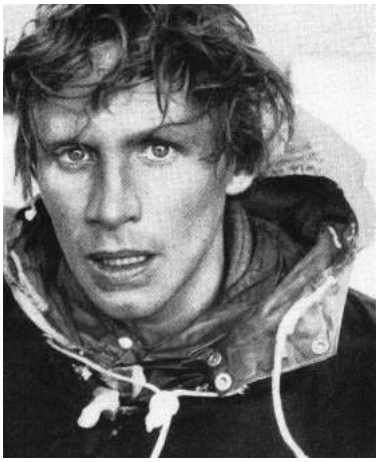

Dougal Haston

Siegfried Hupfauer

W tym samym roku opublikowana została, książka Jörga Lehne i Petera Haaga *Eiger, Kampf um die Direttissima*, w której opisano cały przebieg tego przedsięwzięcia. Jej tłumaczenie na język francuski, pod tytułem *Eiger 30 jours de combat pour la „Directissime”,* ukazało się rok później. W naszych zbiorach mamy tylko to jedno, francuskie wydanie, dlatego też zacytowane dalej „topo” trasy tego wejścia (stanowiące wewnętrzną stronę złożonej obwoluty książki) oraz przebieg całej akcji pochodzą z tego wydania.

Jörg Lehne

Günther Strobel

W 1967 roku Peter Gillman, który w 1966 roku był obserwatorem (przez lunetę) wydarzeń na Eigerze, opublikował książkę *Direttissima; the Eiger Assault*, która później miała szereg dalszych wydań w różnych językach i pod różnymi tytułami, a także z innymi współautorami. Ostatnie z nich (z 2016 roku) to *Eiger extrem – Das Rennen um die Nordwand-Direttissima*.

Jan Kiełkowski

Roland Votteler

EIGER
30 jours de combat
pour la "Directissime"

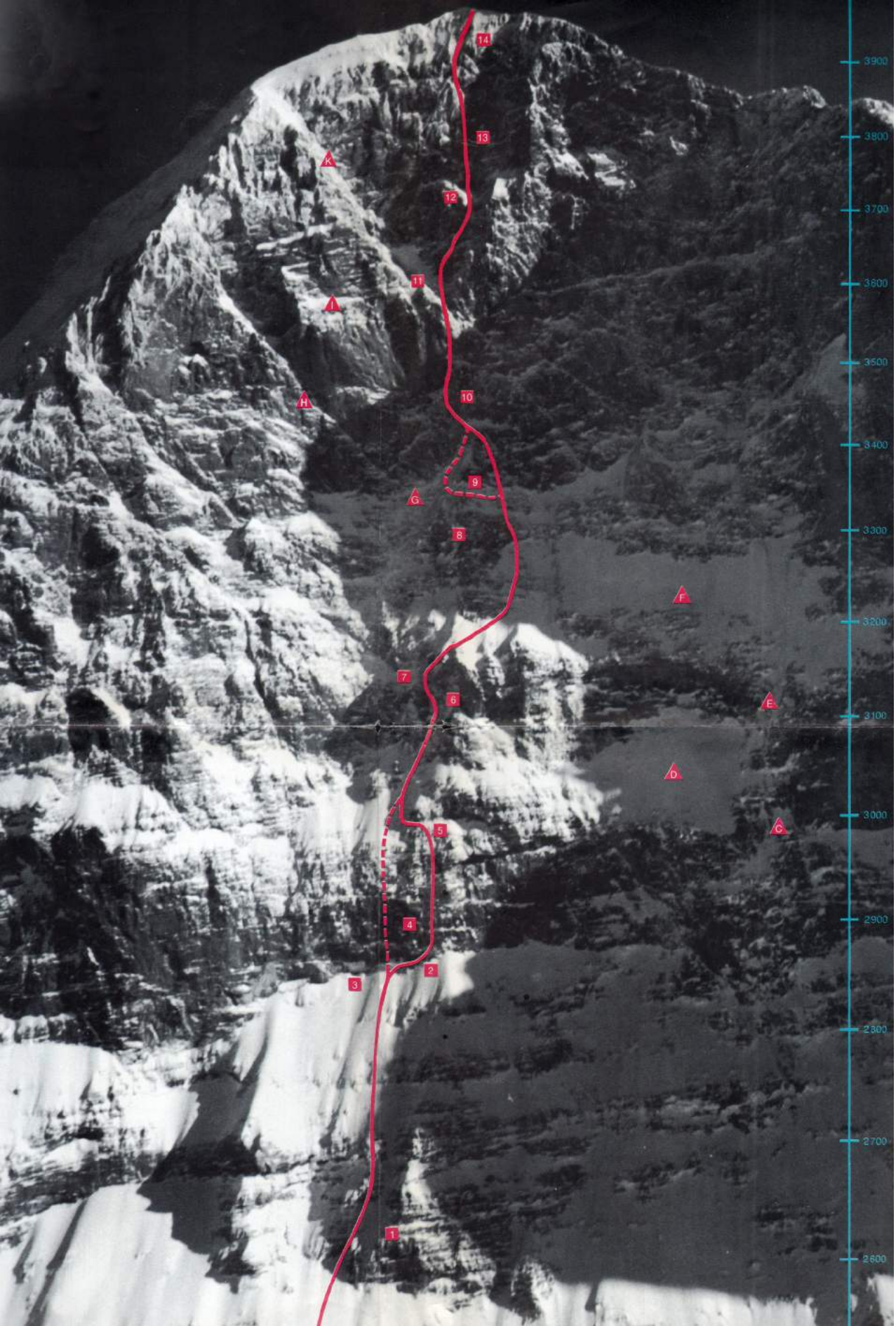
14
13
12
11
10
9
8
7
6
5
4
3
2
1
K
I
H
G
F
E
D
C
3900
3800
3700
3600
3500
3400
3300
3200
3100
3000
2900
2800
2700
2600

DÉROULEMENT TECHNIQUE DE LA DIRECTISSIME

CP: Cordée de pointe · GA: Gain en altitude
T: Moyens techniques (sans piton d'arrêt)
N = Notes quotidiennes

Mercredi 16 février
N: Arrivée de l'équipe allemande à Grindelwald.

Jeudi 17 février
N: Transport de matériel au pied de la paroi.

Vendredi 18 février
CP: Strobel · GA: 30 m · T: 3 pitons à vis · N: Transport de matériel à l'attaque. Le premier ressaut de glace est vaincu. Aucune trace du groupe Harlin.

Samedi 19 février
CP: Golikow, Lehne · GA: 350 m · T: 1 piton à rocher
N: Transport de matériel sur le socle de la paroi, équipement de passages difficiles à l'aide de cordes fixes et échelles de corde. L'après-midi, aggravation du temps.

Dimanche 20 février
CP: Haston, Kor · GA: 160 m · T: Néant, jusqu'au début du ressaut · N: Repos pour l'équipe allemande.

Malgré le mauvais temps, Haston et Kor attaquent pour la première fois. Le matin, discussion avec John Harlin à l'hôtel.

Lundi 21 février

N : Tempête de neige, vent de 120 kilomètres-heure. A midi, Haston et Kor redescendent après un très mauvais bivouac sur une plate-forme de neige.

Mardi 22 février

N : Tempête de neige d'une rare violence.

Mercredi 23 février

N : Tempête et chutes de neige. Le groupe allemand va pelleter la neige sur le chemin du Stöckli.

Jeudi 24 février

N : Chutes de neige. Signes d'amélioration l'après-midi.

Vendredi 25 février

CP : Golikow, Strobel · GA : – · T : – · N : Montée du groupe allemand au Palais de glace par très mauvais temps.

Samedi 26 février

N : L'équipe allemande passe toute la journée au Palais de glace. Chutes de neige.

Dimanche 27 février

CP : Haag, Golikow · GA : 30 m · T : 20 pitons à rocher. N : Attaque du premier ressaut. Le reste de l'équipe apporte tout le matériel au Palais de glace.

Lundi 28 février

CP: Golikow, Strobel · GA: 25 m · T: 20 pitons à rocher · N: Travail au premier ressaut. Le groupe anglo-américain est descendu dans la nuit. Nouvelles chutes de neige l'après-midi.

Mardi 1er mars

N: Très mauvais temps. Seuls Haag et Strobel sont restés dans la paroi. Tous les autres sont à la Scheidegg.

Mercredi 2 mars

CP: Haag · GA: 25 m · T: 12 pitons à rocher, 6 à expansion · N: Peter Haag travaille tout le jour seul dans le premier ressaut. Chute le soir à la suite de la rupture d'un piton.

Jeudi 3 mars

CP: Lehne, Schnaidt · GA: 40 m · T: 17 pitons à rocher, 3 coins de bois · N: Lehne atteint à la fin de l'après-midi la Villa Hammerschmidt.

Vendredi 4 mars

CP: Haag, Strobel · GA: – · T: Portage de matériel et creusement d'une grotte-bivouac.

Samedi 5 mars

N: Très mauvais temps. Haag et Strobel à la Villa Hammerschmidt. Le reste de l'équipe allemande monte. Aucun membre du groupe anglo-américain dans la paroi.

Dimanche 6 mars

CP: Haag, Strobel · GA: 70 m · T: – · N: Haag et Strobel se trompent dans le deuxième ressaut. Le

matériel ne suit pas. Tous les autres Allemands et les Anglo-Américains au transport de matériel dans le premier ressaut.

Lundi 7 mars

CP: Golikow, Lehne · GA: 90 m · T: 12 pitons à rocher · N: Attaque du deuxième ressaut. Lehne et Harlin grimpent à 6 mètres l'un de l'autre. Le soir, Haston et Harlin font une longueur. Les Allemands retournent.

Mardi 8 mars

CP: Haag, Strobel · GA: 200 m · T: 6 pitons à rocher · N: L'équipe de pointe allemande atteint le ressaut au Fer à repasser. Le groupe Harlin essaye à gauche du Fer à repasser et renonce.

Mercredi 9 mars

CP: Haag, Strobel · GA: 80 m · T: 3 pitons à rocher · N: Les deux équipes atteignent la tête du Fer à repasser dite Bivouac de la mort.

Jeudi 10 mars

CP: Haag, Strobel · GA: 110 m · T: 28 pitons à rocher · N: 80 m au-dessus du Bivouac, Haag et Strobel essayent d'atteindre directement la tête du pilier au-dessous de l'Araignée, ce qui se révèlera une erreur.

Vendredi 11 mars

N: Violente tempête de neige. Lehne et Rosenzopf descendent pour compléter leurs provisions perdues au cours de la nuit.

Samedi 12 à mercredi 16 mars

N : Tempête de neige continuelle. Le 15 mars, montée de Golikow et Lehne au Palais de glace. Le 16 mars, amélioration du temps. Schnaidt et Hupfauer descendent ainsi que Harlin et Haston.

Jeudi 17 mars

CP : Haag, Strobel · GA : 30 m · T : 15 pitons à rocher · N : Haag et Strobel font un nouvel essai pour atteindre la tête du pilier. Golikow, Lehne, Rosenzopf, Bonington, Kor, descendent au Fer à repasser.

Vendredi 18 mars

N : Aucune progression possible. Golikow et Lehne échouent dans la tempête de neige.

Samedi 19 mars

CP : Golikow, Lehne · GA : 5 m · T : 1 piton à rocher · N : Golikow et Lehne n'atteignent pas la tête du pilier. Kor et Bonington essayent d'y arriver par la gauche. Haag, Strobel et Votteler descendent.

Dimanche 20 mars

CP : Golikow, Kor · GA : 60 m · T : 20 pitons à rocher, 1 piton à vis · N : Kor et Golikow associés atteignent la tête du pilier et arrivent à 40 mètres du bord inférieur de l'Araignée.

Lundi 21 mars

CP : Kor, Lehne · GA : 60 m · T : 25 pitons à rocher, 3 coins de bois · N : L'Araignée est atteinte. Kor descend au Fer à repasser. Tous les membres des deux équipes montent.

Mardi 22 mars

CP: Golikow, Strobel · GA: 200 m · T: 10 pitons à rocher · N: Le groupe de pointe allemand atteint le début du dièdre sommital. Kor descend à la Scheidegg. En montant à l'Araignée, John Harlin fait une chute mortelle.

Mercredi 23 mars

CP: Lehne, Strobel · GA: 30 m · T: 18 pitons à rocher · N: Changement de temps. Difficultés d'acheminement du matériel. Mais le dièdre sommital est vaincu. Les hommes du Fer à repasser décident de ne pas continuer.

Jeudi 24 mars

CP: Haston, Lehne · GA: 65 m · T: 15 pitons à rocher · N: Violente tempête de neige. Strobel a les mains gelées. Haston le remplace. Le soir, retour à l'Araignée. Les hommes du Fer à repasser descendent.

Vendredi 25 mars

CP: Lehne, Strobel · GA: 160 m · T: 1 piton à vis · N: Tempête de neige avec rafales de plus de 150 kilomètres-heure. 25 degrés au-dessous de zéro. Tous les grimpeurs atteignent le sommet où leurs camarades montés par le versant ouest les accueillent.

Samedi 26 mars

N: Descente à la Scheidegg. L'équipe de pointe a subi de graves gelures.

Zdobywcy *Direttissimy* po przejściu drogi

50 rocznica pierwszego przejścia *Wielkiego Zacięcia* Kazalnicy

W marcu 1968 roku Jan Kiełkowski (WEGA t. VI, s.398), Tadeusz Piotrowski (WEGA t. VI, s. 607) i Zdzisław Prusisz (WEGA t. VI, s. 624) przeszli nową drogą pn.-zachodnią ścianą Kazalnicy Mięguszowieckiej. Poprowadzona przez nich droga biegnie wielkimi zacięciami, z których dolne oddziela właściwą ścianę Kazalnicy od ściany Kotła Kazalnicy, zaś górne wyprowadza z górnej depresji ściany wprost na „siodełko" w Filarze Kazalnicy. Opis tej drogi T. Piotrowski opublikował w „Taterniku" 1968, nr 2, s.82 (*Kazalnica Mięguszowiecka*). Jej topo zostało opublikowane w przewodniku A. Gierycha i A. Pomianowskiego – *200 dróg wspinaczkowych w Tatrach*. Niestety, nie mogę przedstawić tutaj mojego oryginalnego schematu drogi, ponieważ prywatny „kapownik" w trakcie kolejnych przeprowadzek zdążył się gdzieś zawieruszyć.

Tadeusz Piotrowski

Wielkie Zacięcia (dolne i górne), fotografia Janusza Kurczaba

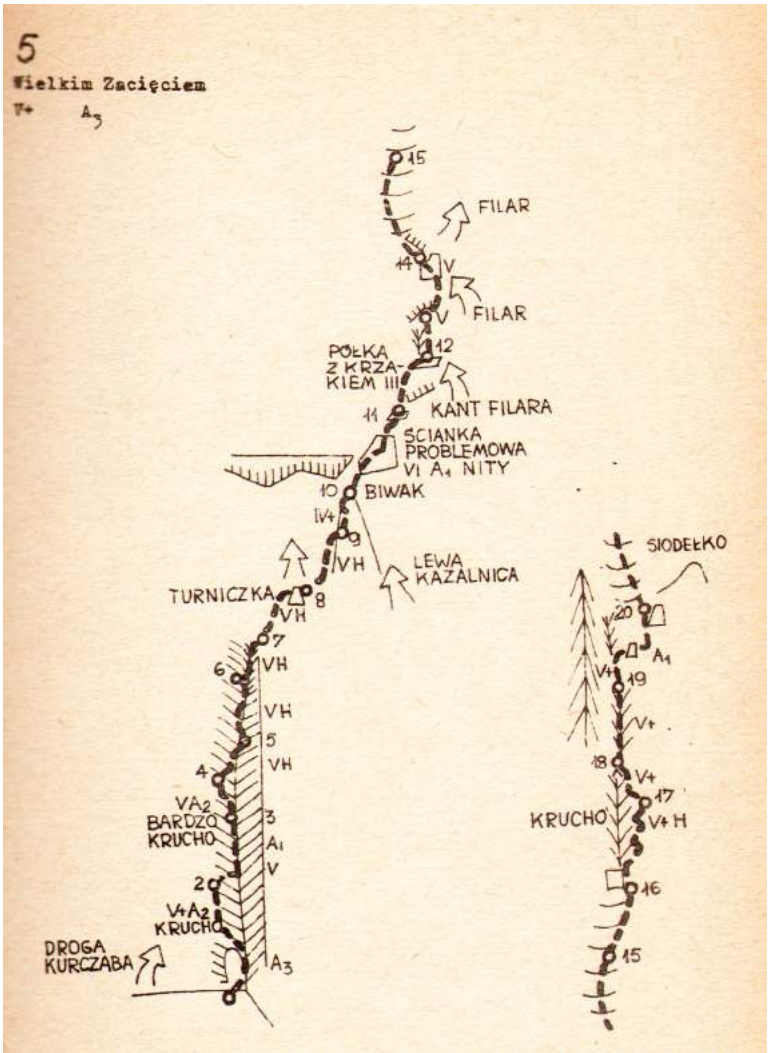

Kazalnica Mięguszowiecka

I przejście pn.-wsch. ściany lewym skrajem, tzw. Wielkim Zacięciem: Jan Kiełkowski, Tadeusz Piotrowski i Zdzisław Prusisz, 23–25 III 1968. Trudności VI, H3. W dolnej części zacięcia skała krucha, dużo urwistych traw.

Droga prowadzi systemem depresji przecinających lewą połać pn.-wsch. ściany Kazalnicy, na styku właściwej ściany z urwiskami tzw. Kotła Kazalnicy. Wejście w ścianę z głębi charakterystycznej nyży u podstawy zacięcia. Prawą ścianką nyży z lekkim odchyleniem w prawo, poprzez przewieszoną ściankę (H3) do zacięcia i nim kilka metrów w górę na skalny stopień. Lewą ścianą zacięcia ok. 25 m (H1 – V) w górę na trawiastą płasienkę. Z niej ukośnie w prawo w głąb zacięcia, którym wprost do góry (H1) pod zamykającą je przewieszkę. Pod nią trawers w lewo i przez jej skraj (H2) do dalszej części zacięcia, którym wprost do góry pod następny pas przewieszonych skał (H1). Tu trawers w prawo (H1) i przez przewieszoną ściankę (H1) na skalny stopień. Z niego w górę (H1) na gładką ściankę i przez nią trawers w lewo do przewieszonego zacięcia, którym w górę na trawiastą płasienkę (H2 – kołki). W tym miejscu zacięcie traci już na stromości. Nim jeszcze kilkanaście metrów i w prawo przez żeberko, po czym na duży odstrzelony blok. (W tym miejscu przecinamy drogę Olszewskiego).

Z bloku obniżamy się na trawiastą półkę i trawersujemy w prawo do jej końca. Po przewinięciu się za załom ściany (IV), kominem w górę na turnicę w ogromnej nyży, łącząc się z drogą Długosza. Razem z nią 4 wyciągi, do miejsca, gdzie przy końcu trawiastej depresji skręca w prawo (warianty J i K drogi nr 6 według opisu w „Taterniku" 1-2/1963 s. 42).

Jeszcze kilka metrów do góry i krótkim kominkiem na następną trawiastę płaszczyznę. Stąd wprost do góry pod gładkie płyty, a następnie trawers w lewo pod okapikiem (H1) i w górę (H1) do odpękniętego bloku. W lewo przez jego krawędź (V) i zacięciem do nastermanych bloków (krucho). Trawers w lewo na trawiastą półkę. W górę przez ściankę (V) na następną platformę. Z niej wprost do góry zacięciem (H1 – V) na skalne stopnie. Przez ściankę do nyży (H1 – V) zamkniętej od góry okapami. Z niej poziomy trawers w prawo (H1 – IV) ponad spiętrzenie depresji na łatwy już teren.

T. Piotrowski

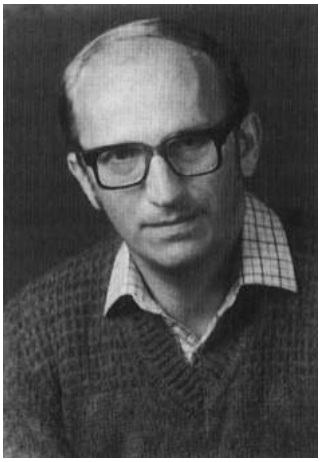

Jan Kiełkowski

Zdzisław Prusisz

Zestawienie znanych nam przejść Wielkiego Zacięcia

1. **przejście (zimowe):** 23-25.03.1968 Jan Kiełkowski, Tadeusz Piotrowski, Zdzisław Prusisz, z poręczowaniem (z udziałem Kazimierza J. Rusieckiego).
2. **przejście (zimowe):** 1-5.02.1974 Zdzisław Dudrak, Mikołaj Kornecki.
3. **przejście (zimowe):** 17-20.03.1975 Petr Bednařik, Jan Holec, Jiři Romanovský, Sylva Talla.
4. **przejście (zimowe):** 10-12.02.1976 Grzegorz Chwoła, Andrzej Michnowski, Michał Momatiuk z poręczowaniem 80 m i z nowym wariantem).
5. **przejście (zimowe):** 13-18.02.1978 W. Krajewski, Przemysław Piasecki, Zbigniew Terlikowski (z poręczowaniem 80 m).
6. **przejście (zimowe, 1.p.samotnie):** 24,26-28.12.1978 Zbigniew Czyżewski.
7. **przejście (zimowe):** 7-10.02.1980 Krzysztof Czarnecki, Władysław Janowski (bez poręczowania).
8. **przejście (zimowe):** 22, 24-26.02.1981 Leszek Bednarz, Jacek Kozaczkiewicz, Andrzej Marcisz.
9. **przejście (zimowe):** 17-19.02.1982 Zbigniew Winiarski, Krzysztof Żurek.
10. **przejście** (1.p.latem): 23-24.07.1982 A. Łuczak, Mirosław Dąsal.
11. **przejście:** 03.1983 A. Kubicki, M. Skrzypczak.
12. **przejście:** 2-5.01.1986 Paweł Bujakiewicz, Krzysztof Pilawski.
13. **przejście:** 23-26.02.1986 Jan Nowak, Ryszard Pawłowski.
14. **przejście (1.p. kobiece):** 14-17.03.1986 Iwona Gronkiewicz-Marcisz, Marek Olczyk.
15. **przejście:** 1-4.02.1987 Jarosław Cyrankiewicz, Jacek Kantyka, Andrzej Pusz, W. Szmeja (z poręczowaniem).
16. **przejście (2.p. kobiece):** 15-20.02.1988 Andrzej Szczepański, Bernadeta Szczepańska.
17. **przejście (3.p. kobiece):** 1-2.10.1988 Paweł Mieszkowski, Barbara Tarnawska.
18. **przejście:** 23, 25-28.01.1989 Wojciech Kurtyka, B. Śmigielski (w łańcuchówce z *Drogą Świerza* na Pośrednim Mięguszowieckim Szczycie).
19. **przejście (4.p. kobiece):** 24-25.01.1992 Jacek Fluder, Monika Niedbalska.
20. **przejście:**: 4.03.1997 Piotr Drobot, Marcin Michałek.

Prosimy o uzupełnienia.

Na koniec parę zachowanych w pamięci wspomnień z przejścia tej drogi przed 50 laty

I tak doczekałem się 50 rocznicy przejścia tej wielkiej tatrzańskiej drogi. Pomysł na nią wykluł się, gdyśmy z Tadkiem robili trzecie przejście *Ścieku* na ścianie Kotła Kazalnicy, a ostateczne hasło do przejścia rzucił Tadek po zimowym przejściu środkiem ściany Młynarczyka. Ponieważ warunki pogodowe uległy pogorszeniu, Tadeusz stwierdził, że trzeba znaleźć taką drogę, na której nie trzeba by było się wstydzić, że się (w tych warunkach) podporęczowało. No i przypomnieliśmy sobie o wypatrzonym latem Wielkim Zacięciu (właściwie o dwóch wielkich zacięciach) Kazalnicy. Do poręczowania przystąpiliśmy dwoma zespołami. 20 marca Tadek i Zdzichu zaporęczowali dolne zacięcie, a dzień później ja z Dżekiem Rusieckim zaporęczowaliśmy do połączenia z drogą Daga. 23 marca w trójkę (Dżekowi się odechciało) przystąpiliśmy do ostatecznego szturmu. Po „wymałpowaniu" do końca poręczówek podeszliśmy jeszcze kawałek nietrudnym terenem na wielką platformę pod przewieszoną ścianą na *Drodze Długosza*. Następnego dnia Zdzichu przełoił wyciąg z nitami (było ich już chyba tylko 4 nadające się do użytku) na *Długoszu* i w rakach (mieliśmy tylko jedną parę) poprowadził dwa dalsze wyciągi pod górne zacięcie; tam zabiwakowaliśmy w dwóch płachtach. Po założeniu biwaku poprowadziłem jeszcze przed zmrokiem pół następnego wyciągu. Nazajutrz na zmianę z Tadkiem przeprowadziliśmy, w coraz gorszej pogodzie (w pyłówkach), cztery ostatnie trudne wyciągi i wyszliśmy na siodełko w filarze. Dalej, wznosząc się i trawersując stromymi śnieżnymi polami, o godzinie 12 w nocy wyszliśmy na wierzchołek Kazalnicy. Tak to wyglądało technicznie, a teraz kilka osobistych wspomnień.

Pierwsze dotyczy komfortowego biwaku pod ścianką z nitami na *Długoszu* – wygoda i gotowane żarcie, było super. Rano śniadanie raczej skromne, za to ja jeszcze długo korzystałem z wygody tego stanowiska, bo szedłem tutaj na końcu, to znaczy „małpowałem" do stanowiska po wyciągu z nitami – było to wielkie przeżycie (drugie wspomnienie). Stanowisko opuściłem potężnym lufciastym wahadłem na linie, której dolny koniec swobodnie sobie dyndał, jak i ja sam, w powietrzu.

Trzecie wspomnienie – to biwak, tym razem głodowy, bo nagle się okazało, że wszyskie posiadane wiktuały już skonsumowaliśmy. Tadek, który na biwakach zawsze zaraz zabierał się do gotowania, w tej sytuacji, zastrajkował i powiedział: gotujcie sobie sami. Więc wleźliśmy ze Zdzichem do płachty biwakowej i trzymając Juvel między kolanami, gotowaliśmy na nim śnieg, którego nie brakowało. A ponieważ do dna menażki przykleiło się parę listków śniadaniowej herbaty, można powiedzieć, że „parzyliśmy herbatę".

Śnieżne pyłówki spadające na mnie i Tadka, gdyśmy załajali po ciemku, w świetle czołówek dwa ostatnie wyciągi drogi do „siodełka", to moje kolejne wspomnienie, a następne, piąte, jest o przejściu z siodełka na szczyt. Po spakowaniu haczywa i zbędnych lin do plecaków, powiązani na jednej linie ruszyliśmy ku szczytowi. Szliśmy z „lotną" asekuracją, a właściwie bez asekuracji, a łącząca nas lina była tylko symbolem solidarności. Pierwszy szedł Tadek, który był wyposażony w jedyny sprawny młotek lodowy (dwa pozostałe, z trzech zabranych na drogę, Tadek swą wielką mocą porozwalał w trakcie wspinaczki). Jego zadaniem było wykopanie dobrych stopni w twardej skorupie śnieżnej. Za nim szedłem ja z gołymi łapami i nogami, a zamykał pochód Zdzichu też z gołymi rekami, ale nogi miał uzbrojone w raki. Poruszaliśmy się równocześnie, bardzo uważnie, i tak koło północy, w piździawicy, wydostaliśmy się na wierzchołek Kazalnicy.

Tadek „małpujący" na pierwszym wyciągu drogi. Jedyne zdjęcie z drogi i zarazem z całego naszego bogatego sezonu zimowego. Autorem fotografii jest Krzysztof Cielecki, który z nami podszedł pod ścianę.

Szóste wspomnienie jest najpiękniejsze, bowiem gdyśmy wyruszali na wspinaczkę, mieliśmy ze sobą jedną pomarańczę i ta pomarańcza w trakcie przejścia gdzieś zaginęła, budząc w zespole pewne podejrzenia. I nagle na szczycie, w tej pogodzie i ciemnościach, gdyśmy się już rozwiązali z łączącej nas solidarnie liny, Zdzich wyjął z kieszeni tę jedyną, niby zaginioną pomarańczę – pożarliśmy ją solidarnie, razem ze skórką!

Zejście z Kazalnicy nad Czarny Staw to kolejne wspomnienie. A to zejście nie było zbyt przyjemne, wszystko z powodu wspomnianej już wcześniej twardej pokrywy śnieżnej; mieliśmy przecież tylko jedną parę raków i nie mieliśmy ani jednego czekana. Tutaj ja zaprotestowałem. Nie miałem ochoty schodzić z pustymi rękami

i stanowczo poprosiłem o nasz jedyny młotek lodowy. Moja prośba została uznana przez zespół i młotek mi przyznano. Tadek i Zdzichu podzielili się natomiast parą raków; każdy z nich miał teraz jedną rękę uzbrojoną rakiem. Tak wyposażeni przetrawersowaliśmy Mięguszowiecki Kocioł i trafiliśmy do haka zjazdowego, z którego zjechaliśmy na linie przez próg oddzielający najwyższe piętro kotła. Dalej ja z młotkiem pognałem w dół, Tadek ze Zdzichem, każdy jednym rakiem w ręce, schodzili znacznie wolniej, więc na Czarnym Stawie musiałem na nich trochę poczekać.

Ostatnie wspomnienie. Wykończeni, żeby nie powiedzieć ujebani, weszliśmy w końcu tylnym wejściem do schroniska i rozbiliśmy biwak na korytarzu drugiego piętra; natychmiast zabraliśmy się do gotowania, ale pamiętam, że przełykanie czegokolwiek było niezwykle męczące i do syta najedliśmy się dopiero koło południa. Zasypianie też nie przychodziło łatwo.

Jan Kiełkowski

Niektóre rocznice kobiecych sukcesów górskich

145 rocznica pierwszego wejścia zespołu damskiego na Jungfrau w Alpach Berneńskich. Dokonały tego Lucy Walker oraz siostry Anne i Ellen Pigeon w 1873 roku. Alpinistki wspinały się z przewodnikami.

110 rocznica pierwszego wejścia kobiecego na Workman Peak (ok. 5885 m) w pasmie Hispar Mustagh, w Karakorum. Na szczyt weszła Fanny Bullock-Workman z towarzyszami w 1908 roku. Było to w ogóle pierwsze wejście na Workman Peak.

60 rocznica pierwszego kobiecego przejścia *Drogi Comiciego* na pn-zachodniej ścianie Civetty w Dolomitach: 1958 rok Sonia Livanos, należąca wówczas do czołówki wspinaczkowej w Dolomitach.

50 rocznica pierwszego wejścia i zarazem pierwszego kobiecego na Aguja Saint Exupéry w Andach Patagońskich, w masywie Fitz Roy: 1968 Silvia Metzeltin-Buscaini w towarzystwie męskim.

50 rocznica pierwszego kobiecego i równocześnie pierwszego polskiego przejścia wschodniego filara Trollryggenu w rejonie Romsdal, w Norwegii. Dokonał tego w 1968 roku zespół: Wanda Rutkiewicz i Halina Krüger-Syrokomska.

50 rocznica pierwszego kobiecego wejścia na Pik Komunizmu w Pamirze Zachodnim: 1968 Ludmiła Agranowska z towarzyszami.

43 rocznica pierwszego kobiecego wejścia na Gasherbrum II w Karakorum: sierpień 1975 Halina Krüger-Syrokomska i Anna Okopińska.

40 rocznica pierwszego kobiecego przejścia pn.-wschodniego filara Les Droites w Masywie Mont Blanc: 1978 Anna Czerwińska i Krystyna Palmowska.

Małgorzata Kiełkowska

MIĘDZY NAMI WEGANTAMI

Nowa Wegantka (dwukrotna mistrzyni olimpijska oraz siedmiokrotna mistrzyni świata w biathlonie), Laura Dahlmeier, zapytana, co dla niej ważniejsze biathlon czy alpinizm, odpowiedziała, że gdyby miała z czegoś zrezygnować, to raczej z biathlonu; na pewno nie zrezygnowałaby ze wspinania.

W ślady Laury idzie chyba też nasza wielka mistrzyni narciarska – Justyna Kowalczyk. Nie ma się temu co dziwić, znając jej imponujący ciąg na szczególnie stromych podejściach narciarskich, no i wiedząc, że od lat jej sąsiadami w Kasinie Wielkiej są Krystyna i Ryszard Zawadzcy. Może się tak zdarzyć, że i ją wkrótce zobaczymy w weganckim gronie.

21 czerwca 2018 setne urodziny obchodził Dee Molenaar (WEGA, t. VI, str. 522), weteran amerykańskiej wyprawy na K2 w 1953 roku. Z tej okazji Bob A. Schelfhout Aubertijn (krajan Dee) wysłał solenizantowi prezent szczególny: opracowaną przez Danutę Piotrowską książkę Tadeusza Piotrowskiego *K2 1986*. Do Danki napisał, że (w wolnym tłumaczeniu) „... książka dotarła i Dee ucieszył się nią ogromnie. On zawsze był człowiekiem sztuki, malarzem, fotografem, artystą, i wiem, że to był bardzo dobry prezent na jego setne urodziny".

Bob przysłał Danusi wyjątkowe zdjęcie – Dee Molenaar oglądający książkę Tadeusza Piotrowskiego. Dostal je od córki Dee, Karen, z którą się kontaktował. I właśnie tę fotografię Dee Molenaara, autorstwa Karen, dostaliśmy dzięki uprzejmości Danusi i Boba i za zgodą wszystkich zainteresowanych zamieszczamy poniżej.

Małgorzata i Jan Kiełkowscy

GÓRY I KULTURA

Wydania polskiej literatury alpinistycznej w językach obcych

Wielkie zwycięstwa i tragedie polskiego alpinizmu zostały opisane w wielu książkach. Katalog „Polskie książki alpinistyczne i wspinaczkowe", opracowany przez Jana Kiełkowskiego (Düsseldorf 1997), liczy bez mała 340 pozycji. Niemniej zawiera on tłumaczenia literatury obcojęzycznej oraz przewodniki wspinaczkowe i trekkingowe. Warto więc pomyśleć o sporządzeniu nowej bibliografii, która obejmowałaby tylko rodzimą twórczość. W tym niewielkim opracowaniu podjęliśmy próbę zestawienia tytułów polskich książek alpinistycznych przetłumaczonych na języki obce. Z naszych rozważań wyłączamy przewodniki wspinaczkowe oraz książki wydane w obcych językach z inicjatywy jednak polskich wydawców (np. niektóre wydania „Ko-

rony Himalajów" Krzysztofa Wielickiego lub ostatnio „Góry Ameryki Łacińskiej" Witolda H. Paryskiego). Największym problem okazało się sporządzenie kompletnej listy tłumaczeń książek Jerzego Kukuczki i zapewne poniższe ustalenia są dalekie od kompletności.

Pierwsze przykłady zainteresowania zagranicznych wydawców sukcesami polskich alpinistów i związaną z nimi literaturą są dosyć nietypowe. W 1944 roku w Glasgow ukazała się bogato ilustrowana broszura Jakuba Bujaka „Polish Himalayan Expedition" wydana przez Polish Library Pamphlet. Nie mamy jednak w tym wypadku do czynienia z tłumaczeniem z języka polskiego opisu pierwszej polskiej wyprawy himalajskiej. Niemniej fakt ten warto odnotować w niniejszym opracowaniu.

Jeszcze inna historia związana jest z jedną z najpopularniejszych polskich książek alpinistycznych. Mowa, oczywiście, o dziejach pierwszej polskiej wyprawy andyjskiej opisanej przez Wiktora Ostrowskiego. Otóż zamieszkały wówczas w Argentynie Ostrowski został zdopingowany przez tamtejsze środowisko wspinaczkowe do opisania tej, jakże owocnej, wyprawy. Książka, rzecz jasna, została wydana w języku hiszpańskim przez oficynę „Albatros" pod tytułem „Más alto que los cóndores" w 1954 roku (wyd. II – 2012 r.). Dopiero pięć lat później ukazała się polska edycja pod tytułem „Wyżej niż kondory". Ten sam wydawca przetłumaczył rok wcześniej (1953) inną książkę Ostrowskiego „Safari przez Czarny Ląd" (Londyn 1947, wyd. Gryf) z rozdziałem „Na lodowcach Kilimandżaro" i wydał ją pod tytułem „Safari En El Continente Negro".

Jednym z największych osiągnięć polskiego piśmiennictwa alpinistycznego jest bez wątpienia wspaniała monografia Jana Kazimierza Dorawskiego „Człowiek zdobywa Himalaje" (Kraków 1957). W 1961 roku praskie wydawnictwo „Mlada fronta" przetłumaczyło dzieło Dorawskiego i wydało pod tytułem „Člověk dobývá Himálaj". W porównaniu z oryginałem treść została zubożona o dwa rozdziały – zagadka yeti i zestawienie najwyższych zdobytych szczytów. Nie zamieszczono również paru map Lecha Wróblewskiego i bardzo pożytecznego skorowidza. Co ciekawe, polski oryginał został wydany w nakładzie 10 tysięcy, natomiast czeska edycja miała 24,5 tysiąca egzemplarzy!

Słynna akcja ratunkowa na Eigerze w 1957 roku z udziałem polskich alpinistów doczekała się wielu opisów. Najbardziej znane jest opowiadanie Adama Skoczylasa „Stefano, przyjdziemy jutro", opublikowane po raz pierwszy w zbiorze „Burza nad Alpami" (Warszawa 1958). Walory literackie tekstu Skoczylasa dostrzegł angielski wydawca i opublikował go w Londynie (1962), jako osobną książkę pod tytułem „Stefano, we shall come tomorrow".

Największym sukcesem eksploracyjnym Polaków w Karakorum było bez wątpienia zdobycie Kunyang Chhisha w 1971 roku. Ten spektakularny sukces został opisany w jednej z najlepszych polskich książek wyprawowych „Ostatni atak na Kunyang Chhish" (Warszawa 1973). Rangę sukcesu i niezaprzeczalne walory książki doceniła znana oficyna niemiecka Brockhaus z Lipska. W 1977 roku wydano „Gipfelsturm im Karakorum", z kolorowym zdjęciem na obwolucie przedstawiającym Andrzeja Zawadę – kierownika wyprawy oraz współzdobywcę Kunyanga. Wzorem polskiego oryginału niemiecki wydawca zadbał o nienaganną szatę graficzną. Nakład obu wersji językowych był taki sam i wyniósł 20 tysięcy egzemplarzy.

Wielkie sukcesy w masywie Kangchendzöngi zanotowały dwie wyprawy Polskiego Klubu Górskiego (1974, 1978). Zdobyto trzy dziewicze wierzchołki trzeciego masywu Ziemi. Owocne wyprawy opisano w pięciu książkach. Dwie z nich doczekały się obcojęzycznych wydań. W 1978 roku wydano książkę Marka Malatyńskiego „W cieniu Kangczendzengi", będącą relacją z pierwszego wejścia na Kangbachen. Książkę przetłumaczono na język rosyjski i niemiecki. W 1983 roku moskiewskie wydawnictwo Myśl wydało w nakładzie 70 tysięcy egzemplarzy (!) „W tieni Kanczendzangi". Rok później lipski Brockhaus opublikował w starannej szacie graficznej „Im Schatten des Kangchendzönga". Podwójne zwycięstwo wyprawy z 1978 roku omówiono w książce „Dwie Kangczendzongi" (Warszawa 1983). Książka została przetłumaczona przez Petyra Atanasowa na język bułgarski i na półkach księgarskich pojawiła się pod tytułem „Dwite Kangczendzongi".

Tadeusz Piotrowski, znakomity alpinista i bardzo dobry pisarz górski, pozostawił po sobie kilka znaczących książek, które weszły do kanonu polskiej literatury alpinistycznej. Jedna z nich – „W burzy i mrozie" (Warszawa 1977) – w tłumaczeniu Istvána Czibóka została wydana w 1988 roku, a więc już po śmierci autora. Książkę pod tytułem „Viharban, fagyban" wydał budapeszteński Gondolat.

Pierwsza książka Jerzego Kukuczki „Na szczytach świata" (Katowice 1990), opracowana przez Tomasza Malanowskiego, wyszła prawie dokładnie w rok po tragicznym wypadku na południowej ścianie Lhotse.

J. K. DORAWSKI
ČLOVĚK DOBÝVÁ HIMÁLAJ
MLADÁ FRONTA

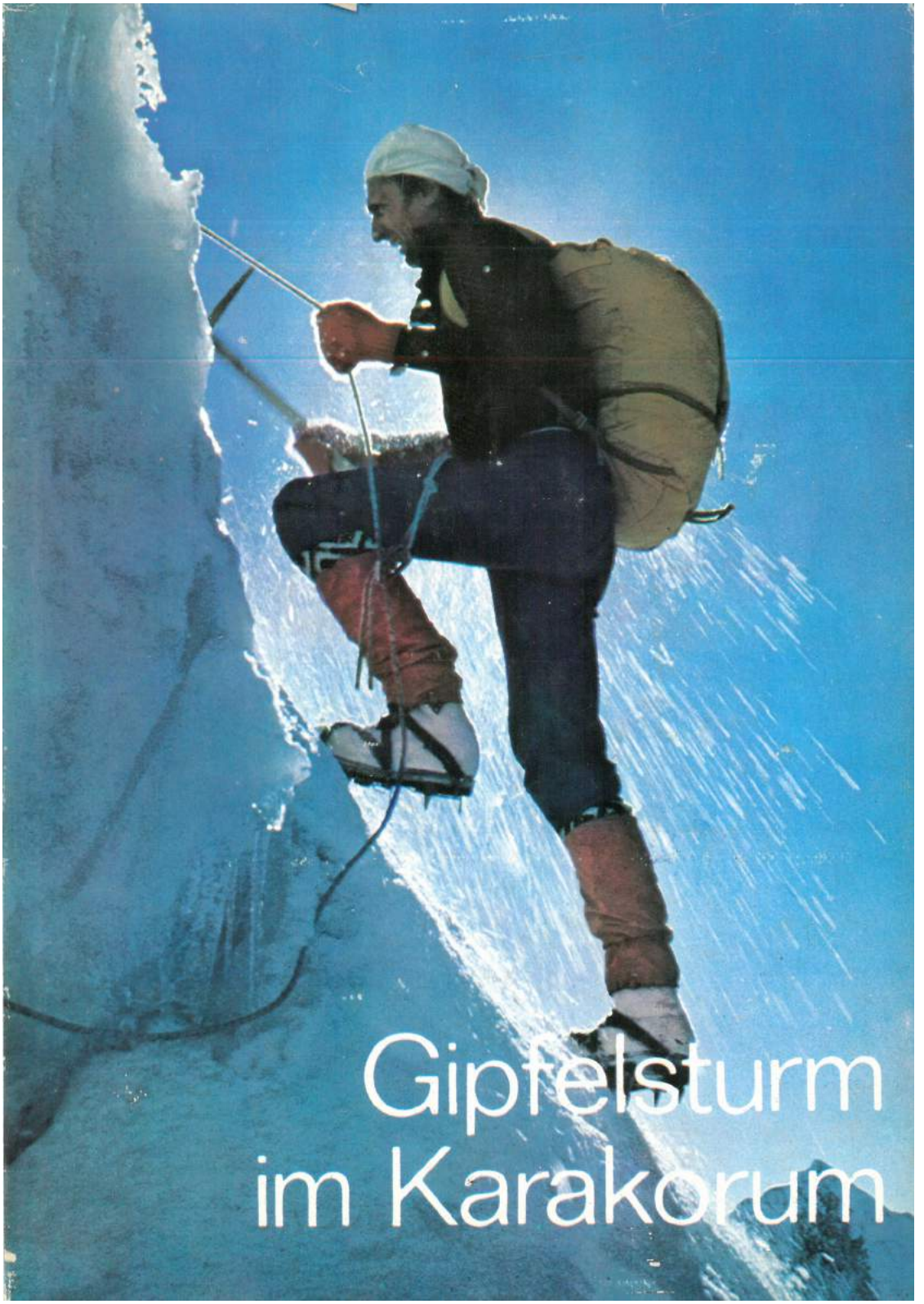
Gipfelsturm
im Karakorum

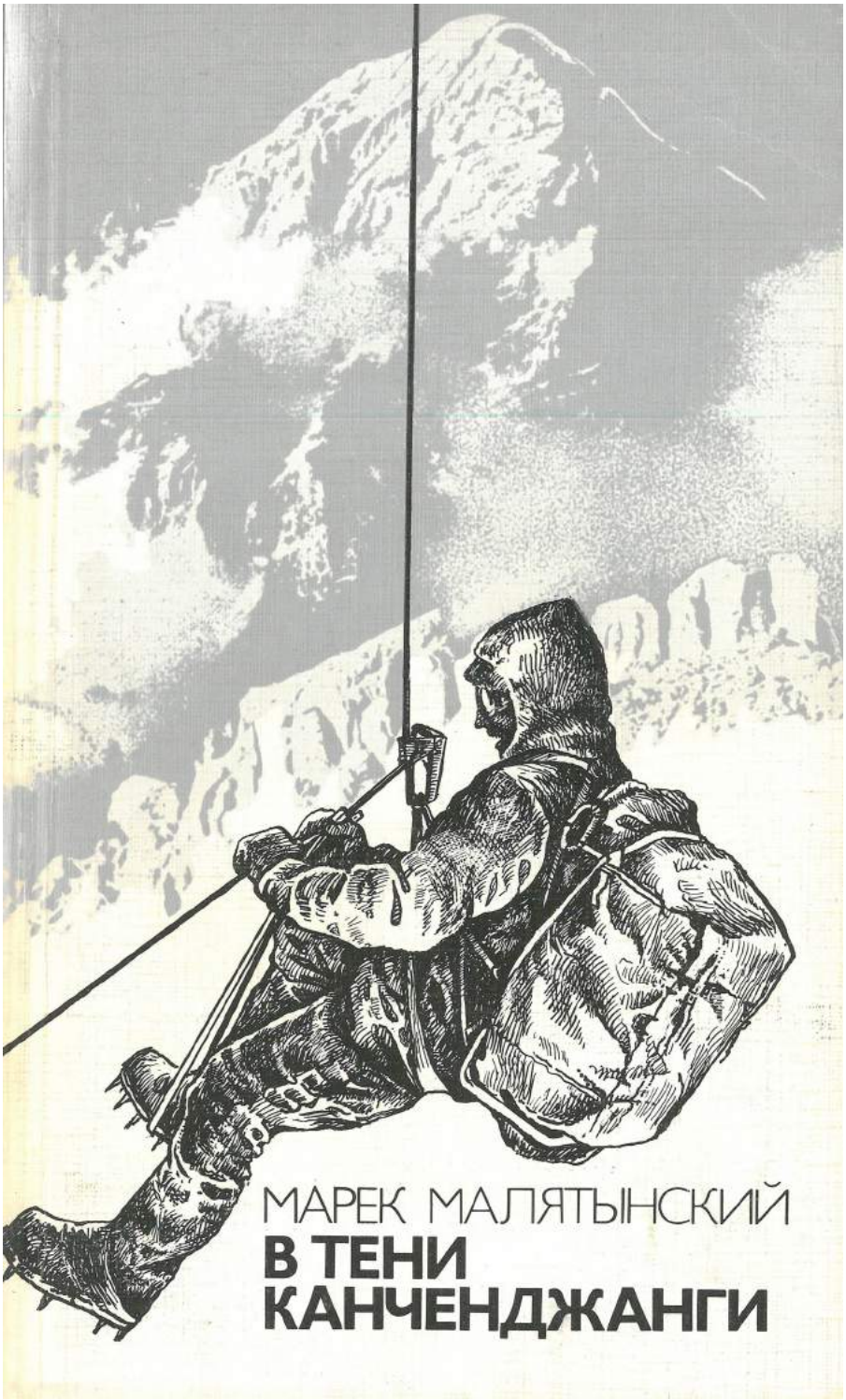
МАРЕК МАЛЯТЫНСКИЙ
В ТЕНИ
КАНЧЕНДЖАНГИ

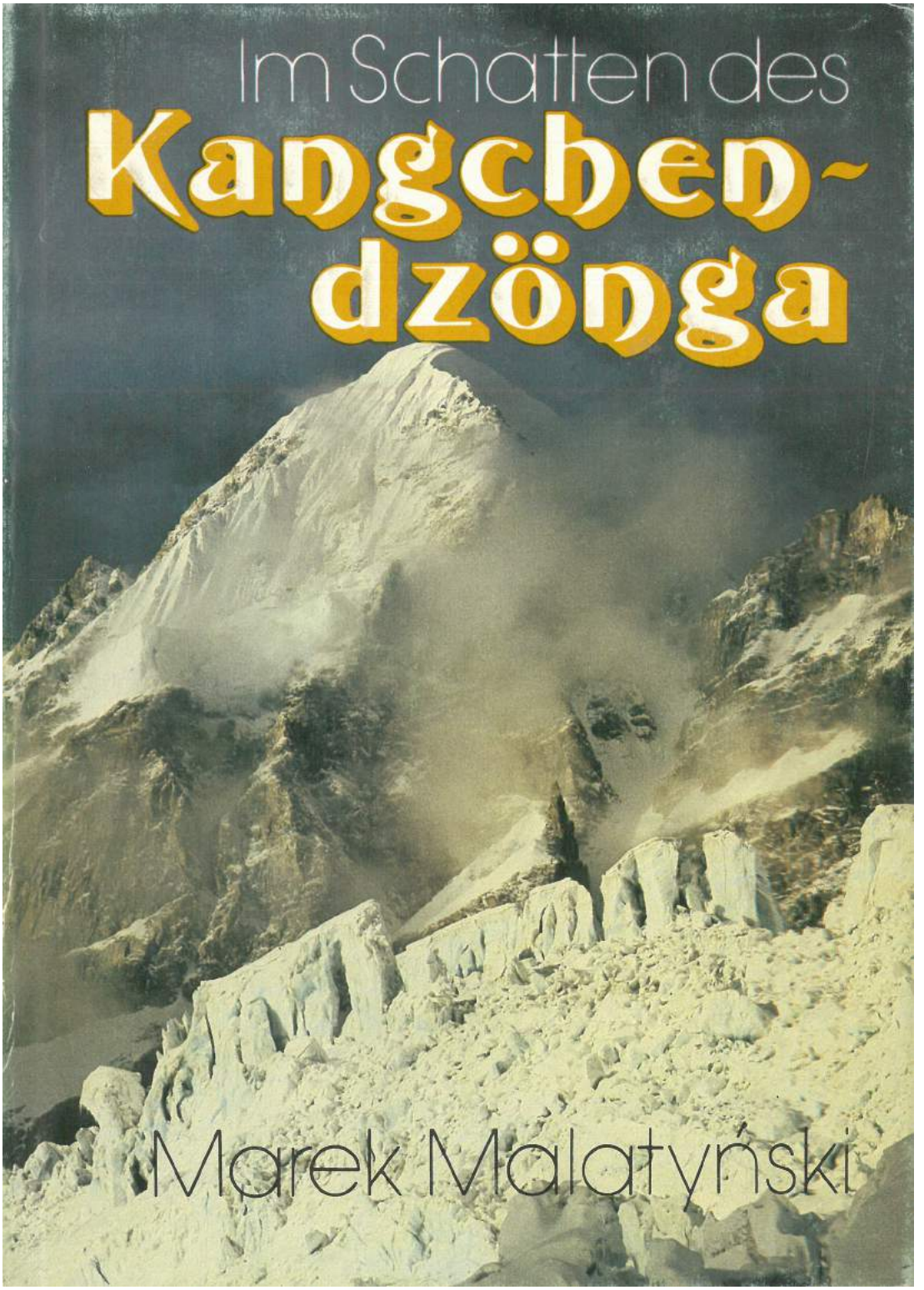
Im Schatten des
Kangchen-
dzönga
Marek Malatyński

W tym samym roku ukazało się włoskie tłumaczenie książki zatytułowane „Al quattordicesimo cielo" (wyd. Mursia). Monachijskie wydawnictwo J. Berg przetłumaczyło książkę Kukuczki z włoskiego na niemiecki i jeszcze w 1990 roku do witryn księgarskich trafił tom „Im vierzehnten Himmel. Wettlauf im Himalaya". Warto dodać, że oba wydania poprzedzał wstęp Waltera Bonattiego. Dwa lata później książka pojawiła się na rynku anglojęzycznym. Wydano ją prawie równocześnie w USA i Wielkiej Brytanii pod tytułem „My vertical World". Edycji podjęły się dwie renomowane firmy – The Mountaineers z Seattle oraz londyński Hodder & Stoughton. W 1995 roku wydano w Polsce dwie wersje nowo opracowanej książki Kukuczki o zdobyciu Korony Himalajów, która nosiła wymowny tytuł „Mój pionowy świat". Ta najbardziej kompletna biografia drugiego zdobywcy Korony Himalajów również doczekała się wielu wydań, m.in. w Wielkiej Brytanii („Challenge the Vertical"", Hiszpanii („Mi mundo vertical") i we Włoszech („Il mio mondo verticale"). W 2012 roku przetłumaczono na język włoski album ze zdjęciami Kukuczki „Ostatnia ściana" (Katowice 1999) i wydano pod tytułem „Jerzy Kukuczka. Un grande tra i giganti della terra".

W 1997 roku wydano w Krakowie bardzo ciekawy album „Korona Himalajów" Krzysztofa Wielickiego. Książka miała kilka wersji językowych, przygotowanych przez krakowską oficynę Ati, i cieszyła się bardzo dużym zainteresowaniem; m.in. w 2012 roku francuskie wydawnictwo Filigranowa opublikowało książkę Wielickiego pod tytułem „La Couronne de l'Himalaya".

Od wielu lat niekwestionowanym liderem w wydawaniu książek alpinistycznych jest katowicki Stapis ze swoją serią „Literatura górska na świecie". Jedną z pierwszych książek w tej renomowanej serii było „Lato w Szamoniksie" Zbigniewa Tumidajewicza (Katowice 1993). W 2002 roku ukazała się włoska edycja książki pod tytułem „Un'estate a Chamonix. Alpinisti polacchi alla ventura". Wydawcą było Centro Documentazione Alpina z Turynu. Dwa lata później książka otrzymała główną nagrodę literacką – Złoty Oset – na festiwalu w Trydencie. W 2005 roku książka Tumidajewicza doczekała się hiszpańskiego przekładu – „Un verano loco en Chamonix. Una historia alpina" – wydanego przez znaną oficynę Desnivel.

W 2013 roku nakładem krakowskiego wydawnictwa Góry Books ukazała się długo oczekiwana książka Wojtka Kurtyki „Chiński maharadża". Nie trzeba było długo czekać na obcojęzyczne wersje i tak książkę wydano w Hiszpanii („El maharaja chino") i na Słowacji („Činsky maharadža"), a w przygotowaniu jest wersja włoska.

Biorąc pod uwagę niebywałe sukcesy polskiego alpinizmu, stosunkowo liczne publikacje książkowe i hermetyczność naszego rodzimego języka, wypada stwierdzić, że zainteresowanie zagranicznych wydawców polską literaturą wspinaczkową było mizerne. Do 1989 roku mamy do czynienia wyłącznie z przekładami w „bratnich" krajach socjalistycznych. Jedynie Rumunia i Słowacja nie wykazały zainteresowania naszym górsko-literackim dorobkiem. Na szczęście nasi wytrawni dokumentaliści, z niezastąpionym Józefem Nyką na czele, bardzo dbali o politykę informacyjną KW/PZA. Wystarczy przejrzeć najszacowniejsze roczniki alpinistyczne na świecie, aby przekonać się, że znakomita większość sukcesów polskich alpinistów, zwłaszcza w Himalajach i Karakorum, została skrzętnie odnotowana i zrelacjonowana. Wiele zmieniło się po 1989 roku w związku z przemianami społeczno-politycznymi w Polsce. Zerwano z państwowym monopolem, pojawiły się prywatne firmy wydawnicze a towarzyszyło temu ogromne zainteresowanie dorobkiem naszej najbardziej rozpoznawalnej „Wielkiej Czwórki" (Wandy Rutkiewicz, Jerzego Kukuczki, Wojtka Kurtyki oraz Krzysztofa Wielickiego).

Niemniej można zaryzykować tezę, że dopiero książki Bernadette McDonald „Freedom Climbers" (2011) i „Art of Freedom" (2017) zapoznały szeroko rozumianą opinię publiczną Europy Zachodniej i USA z niewątpliwym fenomenem polskiego himalaizmu lat 70. i 80. XX wieku. Liczne nagrody, które stały się udziałem McDonald, są również potwierdzeniem ogromnego prestiżu, jakim cieszy się polski alpinizm.

Marek Maluda

Harlin, Haston i inni czyli *Akcja na Eigerze*

W 1965 roku John Harlin założył w Leysin (Szwajcaria, kanton Vaud) szkołę wspinaczkową ISMM (International School of Modern Mountaineering). „Wykładali" w niej przez lata najlepsi ówcześni wspinacze; Boardman, Tasker, Robbins i Haston. Po śmierci Harlina (Eiger, 22 marca 1966 podczas pierwszego przejścia *direttissimy*) szkołą kierowali kolejno Robbis, Haston i Boardman. W czasach Hastona ISMM zmienia nazwę na ISM (przymiotnik modern zostaje usunięty), stając sią profesjonalną szkołą, zatrudniającą wyłącznie przewodników, w przeciwieństwie do epoki Harlina, w której instruktorami byli wspinacze-amatorzy. Pierwszą siedzibą ISMM był Vagabond Club, kierowany przez Alana Rankina. Od 2009 roku szkoła osiedliła się w hotelu Grand Chalet w Leysin. Od wielu lat kieruje nią Pat Littlejohn, aktywny dzialacz UIAA. W 2015 roku kilku z nielicznych „dinozaurów" świętowało w Leysin 50. rocznicę szkoły. Renoma ISM dotarła aż do Hollywood.

Przyczyniło się do tego z pewnością pierwsze wejście na Changabang (wyprawa Boningtona) w czerwcu 1974, w którym uczestniczyło dwóch „pracowników" szkoły: Haston i Boysen. Latem tego samego roku instruktorzy ISM wzięli udział w realizowanym przez Clinta Eastwooda filmie sensacyjnym *Eiger Sanction* (wyświetlanym w Polsce pod tytułem *Akcja na Eigerze*). Jego scenariusz został napisany na podstawie poczytnej książki Trévaniana (pseudonim literacki Rodneya Williama Whitakera) pod tym samym tytułem.

Gdy Clint Eastwood i Doug Haston pojawili się w Vagabond zapadła cisza – wspomina Larry Ware – wszystkie obecne na sali dziewczyny prześcigały się, by podać Clintowi piwo. Casting zakończył się późno w nocy. Najbardziej „zmęczeni" byli Alex McIntyre i Doug Haston. Ten ostatni nawet spadł ze schodów i lekko się potłukł! Miał nazajutrz udzielić wywiadu dziennikarzom z BBC, ale trzeba było odwołać to spotkanie.

Film zawiera aluzję do fantastycznej teorii śmierci Harlina na Eigerze, lecz jest to film o tematyce szpiegowskiej. Jonathan Hemlock (główna postać, interpretowana przez Eastwooda) jest zawodowym mordercą na emeryturze. W życiu prywatnym jest profesorem literatury, kolekcjonerem obrazów i wybornym alpinistą. Dawni pracodawcy proponują mu zlikwidowanie agenta-zdrajcy podczas wspinaczki na Eigerze. Początkowo Hemlock odmawia, lecz w końcu akceptuje to w zamian za odpowiednią ilość dolarów.

Film został nakręcony na Kleine Scheidegg i na północnej ścianie Eigeru. Drugoplanową rolę grał w nim zmarły niedawno George Kennedy. Clint Eastwood zaangażował do swojej hollywoodzkiej produkcji najlepszych specjalistów filmu górskiego. Logistyka ścianowej akcji powierzona została Normanowi Dyhrenfurthowi, Mike Hoover został doradcą technicznym. Clint Eastwood był wspinaczkowym nowicjuszem. Przed pierwszą częścią filmu, kręconą w USA, Eastwood przeszedł wielodniowe szkolenie w Yosemite. Ujęcia wspinaczkowe kręcone były, między innymi, na dziewiczej i zakazanej dla wspinaczy „gromnicy" Totem Pole w Monument Valley w Arizonie. Wspinaczka na tej skale była możliwa dzięki gościnności Indian ze szczepu Navaho, którzy natychmiast po zakończeniu zdjęć „oczyścili" drogę, na której wspinano się podczas kręcenia filmu, z haków i pozostawionego sprzętu.

W Leysin kursant Clint odbył dodatkowe szkolenie na lodowcach i w pobliskim kamieniołomie.
Clint to dzielny gość – wspomina Bev Clark – w Stanach znaliśmy go zawsze w kowbojskim kapeluszu na głowie, z rewolwerem w dłoni. Przed jego pierwszym zjazdem na linie powiedziałem do niego: Clint, zapomniałeś kapelusza i podałem mu kask. Zaśmiał się szczerze.

Aktorzy filmu byli dublowani przez instruktorów ISM. Na filmowej „liście płac" pojawili się Doug Haston (wspinaczka lodowa), Bev Clark, Scot David Knowles, Martin Boysen, Guy Neithardt, Charles Scoot, Hamish McInnes i Ted Wilson. 13 sierpnia, drugiego dnia zdjęć na ścianie Eigeru, zginął Knowles, trafiony kamienną lawiną. Spanikowany producent krzyczał: „Oh shit! Let's get the hell out of here!"

Po wypadku Clint Eastwood, nie chcąc więcej narażać życia kaskaderów, zdecydował, że osobiście zagra w ostatniej scenie, zainspirowanej tragedią Toniego Kurza. Hemlock z zimną krwią odciął linę, na której wisiał,

D. Haston, C. Eastwood i N. Dyhrenfurth podczas kręcenia filmu

wykonując dziesięciometrowy lot. Grałem rolę ratownika ze Stollenloch – dodaje Bev Clark – patrzyłem mu prosto w oczy, nie widziałem, żeby się bał. To była jego „self-control". Wszyscy twierdzą, że zachował się jak doświadczony alpinista. Zresztą – dodaje Larry Ware – Clint nie miał wyboru, po śmierci Davida nikt nie chciał kręcić tej sceny.

Piotr Paćkowski

WEGA-SUPLEMENT

Stanisław Bizański

Ang Rita (WEGA t.VI, s.27), uzupełnienie: urodzony 27.07.1948. JKi

Atanasow, Petyr (WEGA t. VI, str. 39), uzupełnienie: bułgarski alpinista i dziennikarz zmarł 24.07.2018. MKi

Bargiel, Andrzej (WEGA t. VI, str. 58 i t. VII str. 79), uzupełnienie: 22 lipca 2018 Andrzej Bargiel wszedł na wierzchołek K2 w Karakorum i dokonał pierwszego zjazdu na nartach ze szczytu. MKi

Bizański, Stanisław (WEGA t.VI, str. 92), uzupełnienie brakującego zdjęcia.

Bohuš, Ivan (starszy) (WEGA t. VI, str. 99), uzupełnienie: zmarł 11.07.2018 w Tatrzańskiej Łomnicy. JKi

Dahlmeier, Laura (22.07.1993 Garmisch-Partenkirchen –), niemiecka biatlonistka i alpinistka. Dwukrotna mistrzyni olimpijska w 2018 roku; mistrzyni świata w latach 2015, 2016 i pięciokrotna w roku 2017. Zwyciężyła w 17 zawodach Pucharu Świata, a w sezonie 2016/17 zdobyła ten Puchar. Wspinała

Laura Dahlmeier

się na trudnych drogach w Dolomitach, na Piz Badile i w Yosemite. W Alpach Szwajcarskich weszła m.in. na szczyty: Matterhorn, Monte Rosa, Allalinhorn, Strahlhorn, Pollux, Castor, Lyskamm. W Andach Peruwiańskich, w pasmie Cordillera Blanca weszła na Nevado Alpamayo, Nevado Tocllaraju i Nevado Ishinca; w Himalajach Nepalu – na Imja Tse i próbowała wejść na Ama Dablam. JKi

Favresse, Nicolas (Nico) (1980 Bruksela –), belgijski wspinacz skałkowy i wielkościanowy. Zaczął się wspinać, gdy miał 15 lat, już w pierwszym sezonie przechodził drogi o trudnościach 8a. W późniejszych latach wspinał się w skalnych rejonach Europy, na wielkich ścianach Yosemite (m.in. pierwsze przejścia: *Secret Passage* (5.13c), *Lost in Translation* (5.12+) na El Capitanie oraz *L'appat* (5.13 R), *Falls Wall* w Patagonii (1. klasyczne przejście wschodniej ściany Central Tower Del Paine, drogą *South African Route*, 5.12+), Ziemi Baffina, a także w Kanadzie (m.in. 2. przejście *Cobra Crack* 5.14 w rejonie Squamish), Pakistanie, gdzie uczestniczył w eksploracji doliny Charakusa (m.in. 1. przejście *Ledgeway to Heaven* 5.12+ na Nafees Cap) i w Wenezueli. Dokonał licznych pierwszych przejść w europejskich rejonach wspinaczkowych, m.in. w Grecji (m.in. 1.p. *Inshalah* 8c+, Kalymnos), Hiszpanii (m.in. 1. przejście *Vacunamatata* 8c+/9a, Siurana), Norwegii (1.p. *The Recovery Drink* 5.14+, Jossingfjord). Za pierwsze przejścia na Grenlandii (m.in. *Devil's Brew*, 2010) otrzymał Złoty Czekan i Nagrodę im. Karla Unterkirchera; za dokonania na Ziemi Baffina został uhonorowany Złotym Hakiem (2009). Zajmował pierwsze miejsce w belgijskich zawodach wspinaczkowych; był mistrzem Belgii w bulderingu (2000, 2001) i w zawodach na prowadzenie (2001–2005). Alpinistą i wspinaczem wielkościanowym jest również jego brat Olivier Favresse, który także został wyróżniony (razem z bratem) Złotym Czekanem. MKi

Nicolas Favrese

Lit.: M. Ciesielski (wywiad), *Nico Favresse*, „Góry" 2010, nr 11, str. 8-11; Bogusław Magrel (wywiad), *Nico Favresse*, „Góry" 2012, nr 3, str. 16-18.

Fiala, Ivan (WEGA t. VI, str. 236), uzupełnienie: słowacki taternik i alpinista zmarł 13.07.2018. MKi

Jakubski, Antoni Władysław (WEGA t. VI, s.362), uzupełnienie: zamieszczono brakujące w t. VI zdjęcie.

K2 (WEGA t. II, str. 347), pierwszy zjazd na nartach z wierzchołka: 22 lipca 2018 Andrzej Bargiel.

Kele, František junior (WEGA t. VI, str. 394), uzupełnienie: słowacki taternik i alpinista zmarł 10.2014. JKi

Kochańczyk, Michał, uzupełnienie, pełna data urodzenia: 14.05.1950.

Loria, Leon (WEGA t. VI, s. 465), uzupełnienie: zamieszczono brakujące w t. VI zdjęcie.

Łomnicki, Antoni (17.01.1881 Lwów – 04.07.1941 Lwów), polski taternik, absolwent Uniwersytetu Lwowskiego, dr hab. matematyki, od roku 1921 profesor zwyczajny Politechniki Lwowskiej. W Tatrach m.in. wszedł nowymi drogami na Szczyrbską Przełęcz i na Sławkowski Szczyt. JKi
Lit.: L. Maligranda, *Antoni Łomnicki (1881-1941)*.

Makalu (WEGA t. II, s. 496), uzupełnienie: Pierwsze wejście samotnie: 25.04.1981 Robert Schauer. JKi

Molenaar, Dee (WEGA t. VI, s. 522), uzupełnienie, pełna data urodzenia: 21.06.1921. JKi

Antoni W. Jakubski

Leon Loria

Antoni Łomnicki

Ośka, Karolina (24.09.1992 –), polska taterniczka, uprawiająca również wspinaczkę sportową. Zaczęła się wspinać w 2010 roku i w pierwszych latach działała w skałkach Jury Krakowsko-Częstochowskiej, gdzie prowadziła drogi o trudnościach VI.6+ (np. *Ekspozytura Szatana*) i 8a OS, oraz w różnych rejonach skalnych Europy. W Tatrach dokonała pierwszych kobiecych przejść (w zespole z Małgorzatą Grabską), bez użycia techniki hakowej, klasyków tatrzańskich: *Filara Kazalnicy* i *Wariantu R* (2016) i w tym samym roku przejścia *Filara Kantabryjskiego* (8a+) na Naranjo de Bulnes w grupie Picos de Europa, w Górach Kantabryjskich. W 2017 przeszła liczne drogi w Dolinie Yosemite, m.in. *Freerider* (5.13a, VI) na El Capitanie i *Final Frontier* (5.13b) na Fifi Butress. Dwa razy zajęła drugie miejsce w Pucharze Polski w prowadzeniu; pokonywała drogi wielowyciągowe o trudnościach IX (*droga Sadusia* i *Metallica* na Mnichu), buldery do 7C. MKi

Karolina Ośka, fot. I. Moskal

Pilitowski, Jerzy (17.03.1927 Kalisz – 30.12.2006 Toronto), polski taternik, instruktor wspinaczki, także wspinacz skałkowy, z zawodu inż. architekt, absolwent Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej. Między innymi wygrał konkurs na projekt schroniska nad Morskim Okiem, a jego projekt schroniska w Jamskim

Jerzy Pilitowski, fot. M. Bała

Kazimierz Piotrowski

Zdzisław Prusisz

Plesie otrzymał wyróżnienie. Był jednym z projektantów pawilonu na Włosienicy. Chodził turystycznie po Tatrach oraz wspinał się amatorsko w skałkach Jury Krakowsko-Częstochowskiej i w Tatrach. Walczył m.in. w Powstaniu Warszawskim. Był współzałożycielem Piwnicy pod Baranami w Krakowie. JKi
Lit.: *Zmarł Jerzy Pilitowski*, „Głos Seniora" 2007, nr 1: J. Sokołowska-Gwizdka, *Jerzy Pilitowski. Zawsze byłem „przygodowiec",* „Gazeta. Dziennik Polonii w Kanadzie" Jan. 5, 2007.

Piotrowski, Kazimierz (WEGA t. VI, str. 607), uzupełnienie brakującego w VI tomie zdjęcia.

Piotrowski, Tadeusz (WEGA t. VI, str. 607), sprostowanie: uczestniczył w wyprawach w Himalaje, w latach 1982, 1985 (a nie w 1975 i 1978) na Nanga Parbat.

Prusisz, Zdzisław (WEGA t. VI, s. 624), uzupełnienie: data urodzenia (5.10.1941 Dobroń -) i zdjęcie.

Schauer, Robert (WEGA t. VI, str. 679), uzupełnienie: 25.04.1981 dokonał 1. wejścia samotnie na Makalu; sprostowanie daty: urodził się w 1953 roku.

Tilitso Peak (WEGA t. II, str. 743), sprostowanie: 1.wejście (samotnie): 08.1971 Reinhold Messner.

Villanueva O'Driscoll, Sean (07.02.1981 –), belgijski wspinacz sportowy z Brukseli, specjalizujący się w przejściach wielkościanowych. W wieku 13 lat zaczął się wspinać na ściankach w halach wspinaczkowych. W późniejszych latach wspinał się na wielkich ścianach w różnych rejonach górskich świata: Yosemite (m.in. nowa droga *Secret Passage* 5.13c, *Freerider* 5.12d). W Patagonii w 2011 brał udział m.in. w pierwszym przejściu wschodniej ściany Fitz Roya; przeszedł także drogi *South African Route* (5.12c/7b+) i *Riders in the storm* (VII, 7c, A2) na Torre Central del Paine. Poprowadził nowe drogi na Ziemi Baffina: *Chocolate boomerang* (5.11), *Tirokwa wall*; *The Belgarian* (5.13 A1) i *Whisky Gonzales* (5.11) – obie na Mount Asgard. Uczestniczył w eksploracji doliny Charakusa w Pakistanie (nowe drogi m.in. w masywie K7 *Badal* na Badal Wall i *Ledgeway to Heaven* na Nafees Khup. Za pierwsze przejścia na Grenlandii (m.in. *Devil's Brew*, 2010) został uhonorowany, razem z zespołem, Złotym Czekanem. Jest bohaterem filmów: *Pakistan Project* o eksploracji w dolinie Charakusa, w Karakorum, *Asgard Jamming* o wyprawie na Mount Asgard na Ziemi Baffina (Kanada) i *Vertical Sailing Groënland*. MKi

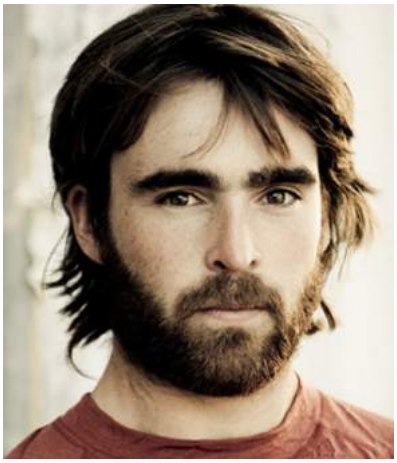

Sean Villanueva O'Driscoll

Z NASZYCH KOLEKCJI

Motywy górskie na etykietkach win

Oto wdzięczny i niewątpliwie niejednemu bliski (a nawet dogłębny) temat – etykietki o tematyce górskiej na butelkach wina. Góry najczęściej występują na etykietach win andyjskich z Argentyny lub Chile. Interesujące motywy górskie (m.in. z Yosemite) mają etykietki win kalifornijskich. W Europie występują one rzadziej, ale butelki win z Tyrolu nieraz upiększane są motywami z Dolomitów. Już od dawna etykietki przyklejane są do butelek niezwykle mocnym klejem, praktycznie uniemożliwiającym odklejenie ich, ewentualni kolekcjonerzy zmuszeni są więc do zachowania w kolekcji całych butelek. W naszej mamy takich butelek kilkaset i już nie bardzo się mieszczą w piwniczce, dlatego przestaliśmy je kolekcjonować, w zasadzie.

Dalej prezentujemy kilkanaście takich butelek, które cudem jakimś wciąż zachowują 100 procent swojej zawartości. W przyszłości mamy zamiar pogrzebać w butelkach o wartości wyłącznie kolekcjonerskiej i wybrać te najciekawsze do następnej prezentacji. Chętnie zapoznamy się z doświadczeniami i uwagami innych kolekcjonerów. Może ktoś zechce się pochwalić (a może i podzielić?) swymi okazami? Okazją do wymiany doświadczeń kolekcjonerskich mogłoby być spotkanie w Rzędkowicach.

Jan Kiełkowski

BIANCO
DELLE DOLOMITI
2014
INDICAZIONE GEOGRAFICA TIPICA

TRAPICHE
VINEYARDS
2016
MALBEC
ARGENTINA

Glühwein
aus Heidelbeeren

IN SITU
Vineyard Selection
Cabernet Sauvignon
2011
Valle de Aconcagua - Chile

ANDES
CHILE
CABERNET
SAUVIGNON
2003
NEW WORLD
WINES
AUSTRALIA
SHIRAZ
BIVAT
2004
Weinberg Dolomiten
Edelvernatsch
TROCKEN
SEHR GUT
Argentina
Vino Tinto
2011
WINE OF ARGENTINA
EL EMPERADOR
CABERNET-CARMENERE
CHILE

LINKI

www.albumwypraw.waw.pl
www.nyka.home.pl;
www.taterniczek.com
www.goryonline.com;
www.taternik.org
http://goryksiazek.pl;
http://lojanci.org/main.php
http://www.kw.warszawa.pl/echa-gor
www.wspinanie.pl; www.portalgorski.pl
www.mountainportal.com;
http://asian-alpine-e-news.com/
www.mountain.ru
MCADD-PAHAR | Mountains of Central Asia Digital Data Set by ...
www.ukclimbing.com; http://pza.org.pl,; www.stapis.com.pl
http://www.angeloelli.it/index.htm

Na ostatniej stronie grafika E. Platza z 1894 roku: *Wspinaczka na Pflerscher Tribulaun w Alpach Stubajskich*